



KRZYSZTOF BONK

BIRAMOND

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Biramond

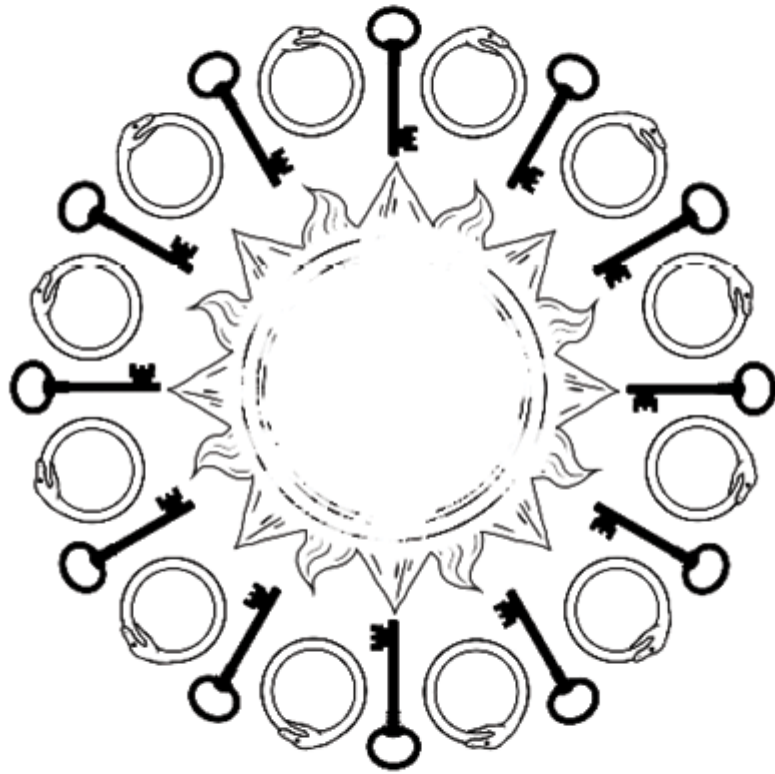
Cykl Pendorum IX

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-978-4
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. NADZIEJA – GDZIE ONA JEST

Ocieram obfity pot z czoła i z niekłamany zadowoleniem przyjmuję widok zachodzącego już słońca. Nieopisany skwar przestaje nareszcie łąć się niemiłosiernie z czystego nieba, ustępuje i można zaznać nieco ulgi od wszędobylskiego upału. Zaś najskuteczniej można doświadczyć jej, kładąc się do snu we własnym namiocie. Choć zanim do niego wejdem, rozbieram się do przepaski biodrowej i pozostawiam ubranie na zewnątrz, aby nie wnosić na nim do postłania dodatkowej ilości gryzącego ciała piasku.

Wewnątrz jednak zauważam, że mój namiot jest już o dziwo zajęty. Mianowicie zajmuje go zakonniczka Lisotia, która jest obecnie ubrana tak samo skąpo, jak ja. Przez dłuższy czas ogniskuję wzrok na jej nagim biuście, czyniąc to odruchowo. Aż wyrywam się z pewnego stanu, jakby hipnozy i przenoszę pytające spojrzenie na oczy niemej kobiety. Ona spokojnie gestykuluje:

– „Kiedyś chciałeś mnie mieć. Mogę się postarać, by dać ci przyjemność i to na różne sposoby taką, jakiej oczekują mężczyźni. Więc jeżeli nadal mnie pragniesz, to jestem teraz twoja”. – Lisotia kieruje rękę do swej przepaski biodrowej z zamiarem jej ściągnięcia. Ale wcześniej własną ręką unieruchamiam jej dłoń i z powagą zapytuję:

– Co się zmieniło?

– „Wiele” – odpowiada kobieta i próbuje się wyrwać z uścisku. Nie pozwalam jej na to i naciskam:

– Wyjaśnij.

Ona wywraca oczy do góry i unikając mego spojrzenia, czyni niespieszne gesty:

– „Razem z Nail powróciły zakonniczki srebrzystej łani. One wybrały ze swego grona nową, wielką mistrzynię, a jest nią nienawistna mi mściwa suka. I ta suka zechce się na mnie zemścić za to, że samowolnie opuściłam

swe siostry, aby przystać do ciebie. One, zakonnice, mnie okaleczą, jeżeli mnie nie ochronisz” – kończy, a ja z wyrzutem zapytuję:

– I doszłaś do wniosku, że będziesz płacić mi własnym ciałem, bo inaczej oddam cię na pastwę losu, wydam, tak po prostu?!

– „A nie”? – gestykuje bez wiary Lisotia.

– Otóż absolutnie, nie – potwierdzam surowo i już łagodnie dodaję: – Osłoń swą nagość i zamieszkaj ze mną w jednym namiocie. Jest tu dość miejsca dla dwóch osób. Ponadto wiedz, że niczego nie jesteś mi winna. Już samo to, że do mnie przystałaś i do tego ze szczytnych powodów, a jeszcze walczyłaś przy mnie, jest dla mnie wielką zapłatą, na którą doprawdy nie zasługuję.

– „Dziękuję” – Kobieta uśmiecha się lekko, składając razem dłonie. Na co odwzajemniam szczery uśmiech i oświadczam:

– Jak już wspomniałem, to ja dziękuję. – Naraz robi się naprawdę słodko i już się nachylam, aby pocałować Lisotię, choć jedynie przyjacielsko w policzek, kiedy ona uprzedza mnie, składając usta na wysokości mego pasa wprost na przepasce biodrowej. Przez cienki materiał tkaniny czuję na sobie język kobiety oraz jej przesuwające się wargi i robi mi się coraz bardziej nieswojo, ponieważ nie chcę wykorzystywać sytuacji. Lecz z drugiej strony w mgnieniu oka skutecznie rozbudzona zostaje we mnie żądza, która narasta.

Walczę ze sobą, czyniąc wielce zakłopotane miny, a jednocześnie składam dłonie na głowie Lisoti, przytrzymując ją. I już za chwilę zdaję sobie sprawę, że walkę ze swoją cielesnością właśnie przegrywam. A już za moment wręcz pragnę być pokonany i to z kretesem.

Gdy nagle słyszę za sobą energiczne klaśnięcie. Odwracam się wielce zaskoczony, jakby zbudzony z erotycznego snu i w progu namiotu zauważam niespodziewanie Nail.

– Witaj... – mówię do niej zmieszany. Ona spokojnie gestykuje:

– „Przeszkadzam? Mogę przyjść później”.

– Ależ nie – odpowiadam z nienaturalnym pośpiechem i równie szybko dodaję: – Wejdz, proszę.

– „Chcę porozmawiać na osobności”

Po tych gestach Nail Lisotia wstaje i zaczyna się ubierać. Na co chwytam ją za dłoń i zdecydowanie mówię do jasnowłosej kobiety:

– Ty tu zostajesz, tak ustaliliśmy. I wiedz, że więcej nie pozwolę, abyś odwdzięczała mi się tak, jak próbowałaś to uczynić przed chwilą, rozumiesz? – Zakonniczka srebrzystej łani kiwa na zgodę głową, a ja zwracam się do Nail: – Już idę, skoro pragniesz zaszczyścić mnie rozmową.

– „Pragnę” – czyni gesty ciemnoskóra kobieta z niezmiennie poważną miną i wspólnie wychodzimy na otwartą przestrzeń.

Na ciemniejącym niebie witają nas już pierwsze gwiazdy, których z każdą chwilą przybywa. My natomiast kierujemy się na skraj obozu i zasiadamy nad brzegiem oczka wodnego. Jednej z nielicznych oaz, których, jak się obecnie okazuje szczęśliwie, nie zdążyliśmy zatruć. Razem wpatrujemy się dłuższy czas w łagodną, wodną toń, gdzie jakby przeglądają się migotliwe gwiazdy. Aż w pewnym momencie rozmowę inicjuje Nail:

– „Nie mogłam przybyć wcześniej z moimi Allearami, aby ci pomóc”.

Te słowa mnie dość zaskakują, dlatego odpowiadam:

– Nie oczekiwałem pomocy z twojej strony. – A zaraz z lekkim uśmiechem dodaję: – Choć biorąc pod uwagę, ile razy już mnie uratowałaś, to twoje nagłe pojawienie się chyba jednak niespecjalnie powinno mnie dziwić, nie uważasz?

– „Zrozum” – Nail zachowuje surowy wyraz twarzy i jakby obawiając się, że może być źle zrozumiana, z nadzwyczajną starannością dalej gestykułuje: – „Przybyłam na ten kontynent, jako zupełnie niezwiązana z nim osoba, ktoś obcy. Potem los sprawił, że związałam się Allearami, zostałam niemal jedną z nich. I kiedy uzyskałam taką możliwość robiłam, co w mej mocy, aby ich ochronić. Jestem im to winna za to, co sama od nich otrzymałam. Lecz teraz sprawy się zmieniły”. – Dotąd bezemocjonalne oblicze Nail raptem wyraża pewien smutek. – „Ludzie, którzy zawierzyli mi swój los, nie mają już gdzie się skryć. Nieliczne ocalałe rodziny tułają się po zgliszczach pozostałych z wielkiej puszczy, a wojownicy są tu, z nami, na wojnie. I teraz los Allearów to także los całego Pendorum. Obecnie wszyscy jesteśmy sobie równi, bo wszyscy cierpimy i wspólnie musimy walczyć o to, co jeszcze pozostało, by przetrwać”.

– Zgadzam się z tym... Podobnie prawila swego czasu Larien. Rozumiała, że musimy współpracować i Allearzy oraz władztwa z serca Pendorum są na siebie skazani czy im się to podoba, czy nie, aby ocalić cokolwiek z naszego świata – odpowiadam z pewną ciężkością w głosie i zataczając kolisty ruch ręką, wskazujący pustynię, smętnie zapytuję: – Ale co tak właściwie nam zostało, Nail...? Chyba już tylko nieprzebrane połączenie jałowego piasku z trującymi oazami, które sami skaziliśmy... Obawiam się, że jest już za późno na śmiałe czyny... – kończę, zwieszając ponuro głowę. Na co kobieta zasiadająca z boku łapie mnie za ramię, potrząsa mną silnie i energicznie gestykułuje:

– „Nie mów tak, nie możemy się poddać, nie my”.

– Ale jak zatem chcesz walczyć, Nail, jak...?

– „Pamiętasz? Mówiłeś niegdyś, że twoja boska matka przepowiedziała ci, że będziesz władał tą krainą, całym kontynentem”.

– Cóż, pamiętam... – stwierdzam bez wiary. Natomiast w Nail ciągle zdaje się płonąć żywy ogień nadziei i kobieta, jakby pragnąc mnie nim ogrzać, przysuwa się do mnie bliżej. Odgarnia mi rude włosy z czoła i z lekkim uśmiechem czyni kolejne gesty:

– „Dużo słyszałam od Allearów o boskości twojej matki, mitycznej Anrei. W szczególności o jej pierwszym i ostatnim żywocie, jako kobiety, człowieka z krwi i kości. Z powodu zasłyszanych opowieści i moich własnych przemyśleń ta istota stała mi się w jakiś sposób niezwykle bliska i wierzę w nią. Wierzę, że przekazała ci prawdę o twojej przyszłości. Lecz nie ma już czasu, aby zwlekać. Trzeba wykorzystać szansę, która musi gdzieś istnieć. Tak, ona gdzieś tutaj jest, możliwość, aby pomimo wszelakich przeciwności losu jednak wygrać”.

– Ale gdzie, jak, skąd...? – pytam z pewną pretensją, rozpościerając w geście bezradności szeroko ramiona.

– „Nie wiem” – odpowiada, spoglądając w niebo Nail, po czym przenosi wzrok na mnie i z siłą gestykułuje: – „Ty powinieneś to wiedzieć. Albowiem Bogowie, jak mityczna Anrea, nawet jeżeli nie przebywają aktualnie w boskim wymiarze, to ich energia, wśród dzieł, do których tworzenia się przyczynili, ciągle jest żywa, istnieje. Zatem być może otrzymałeś już jakieś znaki, pomyśl, zastanów się”.

– Myśle... – mówią smętnie i naraz doznają pewnego olśnienia. – Być może rzeczywiście byłem już świadkiem czegoś takiego, znaku... – oświadczam w zadumie.

– „A widzisz” – Nail poszerza uśmiech. – „Opowiedz mi o tym” – zachęca.

– To były... jakby glify, aureole...

– „Mów dalej”.

– Pierwszy znak... pojawił się, kiedy byłem nieprzytomny, tuż po tym, jak zostaliśmy zdjęci z krzyża na arenie podczas święta Arezara w Etos. Drugi widziałem wokół głowy Harremid, gdy chciałem pozbawić ją życia. Trzeci to chyba... tak, to specyficzny wzór namalowany krwią w celi przez wielkiego mistrza, rycerza Avenedora... I wreszcie ostatni znak widziałem nie tak dawno na tle sylwetki Gragezona, kiedy z nim walczyłem, nie będąc go w stanie śmiertelnie zranić. Aczkolwiek... wydarzyło się coś jeszcze... – wpadam w dłuższą zadumę.

– „Tak”? – Nail ponownie chwyta mnie za ramię, zupełnie jakby chciała mi pomóc. Ja sięgam do dalszej pamięci, aż do odwiedzin czarownika Gabu, po czym oznajmiam: – Nad pewnym miejscem zwanym Źródłem Bogów słyszałem niegdyś tajemnicze słowa, które miały sugerować, w jaki sposób mam pokonać dzieci Anrei oraz Abezala...

– „Jak brzmiała przepowiednia”?

– Wąż kąsa węża... a skorpion skorpioną, tylko jego własnym jadem pokonasz ucieleśnienie Boga... Tak te słowa zapamiętałem. I wtedy, jak i teraz, nie rozumiem ich prawdziwego przesłania. – Spoglądam zrezygnowany na Nail. Ona bierze głęboki oddech suchym powietrzem i z jaśniejącym uśmiechem na ustach gestykuluje:

– „Ale ja rozumiem, rozumiem ten przekaz, kiedy łączę ze sobą wszystko, co mi przedstawiasz”.

– Naprawdę?! – Teraz to ja chwytam Nail i to mocno za oba ramiona, do tego wytrzeszczając w zdumieniu oczy. Ona wyjaśnia:

– „Posiadałam przeszłe życia. Wszak pamiętam z nich jedynie niepowiązane ze sobą strzępy i przez to nie wiem, kim byłam. Jednak w

mojej pamięci zachował się sposób na pokonywanie złych bóstw, demonów z mej dalekiej krainy, które w fizycznej postaci zstępowały na ziemię”.

– Tak, Nail, jaki to sposób...? – zachęcam, aby podzieliła się swą rewolucyjną wiedzą, która może nagle wszystko zupełnie odmienić. Ciemnoskóra kobieta bynajmniej nie daje się prosić:

– „Przybywający na ziemię w fizycznej postaci Bogowie nieraz otaczają się specyficzną, z reguły niewidzialną aurą, aby chronić swą materialną postać. Lecz zarazem jest to ich słaby punkt oraz sposób na ich pokonanie. Zatem, aby skutecznie ich zgładzić, trzeba przejąć na siebie moc chroniącego ich symbolu”.

– Jak to zrobić? – pytam naprawdę podekscytowany.

– „Wąż kąsa węża, a skorpion skorpioną, tylko jego własnym jadem pokonasz ucieleśnienie Boga” – powtarza gestami przepowiednię Nail i tłumaczy: – „Aby osiąść moc danego znaku, musisz dokładnie wytatuować go na swym ciele. Wtedy, mając moc psa, pokonasz Arezara, mając moc łani, zabijesz Harremid, z siłą lwa zgładzisz Avenedora, z potęgą niedźwiedzia zniszczysz życie Gragezona, z kolei z symbolem ptaka unicestwisz istnienie Boga Biramond”.

– Biramond... – powtarzam raptem nieco przygasły. I zaraz podaję powód spadku mego nastroju: – Nie miałem jeszcze okazji zobaczyć znaku posiadanego przez Boga świętości i walki. Nie wiem, jak wygląda jego ochronny glif.

– „Twierdzisz, że większość znaków zaobserwowałaś bezpośrednio wokół twego boskiego rodzeństwa albo w jego pobliżu, czy tak”?

– Tak, to prawda...

– „Zatem wyruszmy po ostatni glif, po jego obraz, aby przygotować się na każdą możliwą konfrontację” – sugeruje Nail.

– Mamy jechać do... Tamroszach?

– „Tak, tam podobno rezyduje obecnie Biramond”.

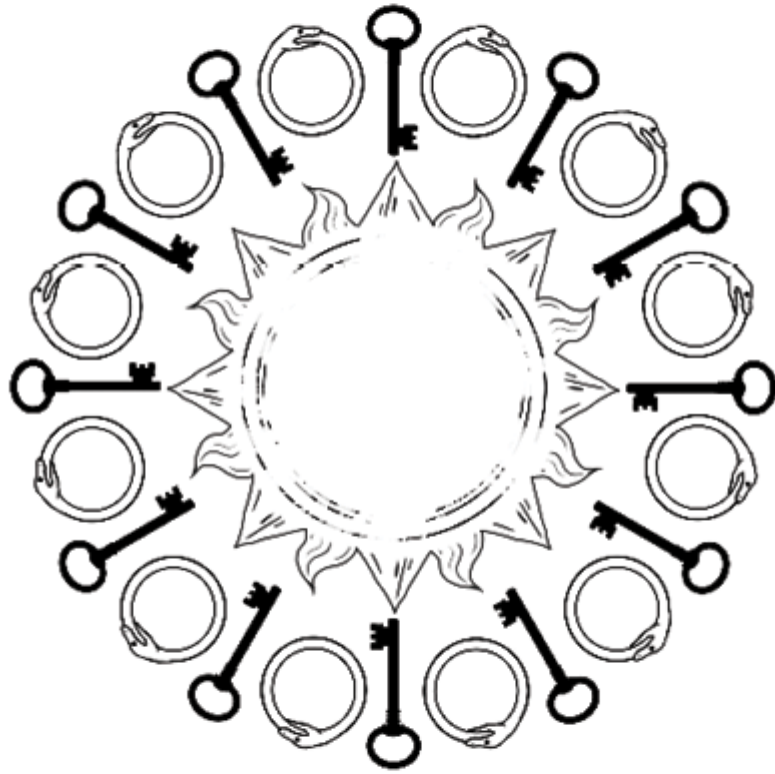
– I pojedziesz na tę wyprawę ze mną? – Uśmiecham się szczerze.

– „Nie do końca” – odpowiada po chwili namysłu Nail. – „Aby zwiększyć szanse powodzenia misji, lepiej jest się przemieszczać małymi grupami. Dlatego proponuję dwa niewielkie oddziały. Na miejscu, pod

murami Tamroszach, spotkamy się w najbliższą pełnię księżyca i połączymy tam nasze siły”.

– Niech tak będzie, Nail. Niech tak będzie – mówię zdecydowanie i z nowo rozbudzoną nadzieją spoglądamy sobie głęboko w oczy, po czym mocno przytulamy się do siebie. Pozostajemy nawzajem w ramionach, odczuwając bicie naszych serc, aż jesteśmy gotowi udać się w być może decydującą o losach Pendorum misję. A musimy się spieszyć, bo podróż tam i z powrotem zajmie nam tyle czasu, że być może powrócimy już do głodujących i spragnionych naszych ludzi. Tak więc już czas, już czas... – powtarzam sobie w duchu.

Naraz czuję podekscytowanie na wzór tego, kiedy pokonałem mego ojca, Zana, w przyjacielskim pojedynku, co otworzyło mi drogę na wielki świat. Otóż od tamtego czasu doprawdy przemierzyłem tyle krain, poznałem tylu niezwykłych ludzi i tak wiele z nimi przeżyłem, tak wiele się zdążyło wydarzyć. Teraz natomiast wypada zrobić należyty użytek z całego, zdobytego doświadczenia i dać z siebie wszystko, aby wypełnić przepowiednię mej świętej matki i w decydującym momencie historii uratować kontynent Pendorum.



II. POMIĘDZY PIASKAMI

Wraz ze wschodem słońca dalej na południe wyruszają z naszego wojskowego obozu dwie drużyny. Jedna, kierująca się bardziej zachodem, prowadzona jest przez Nail, a dowodzi ona siedmioma Allearami oraz miejscowym przewodnikiem z chanatu. Osobiście liczebnie i jakościowo zabieram podobną grupę, choć dołącza do mnie jeszcze zakonniczka Lisotia, którą zobowiązuje się chronić, ale tylko chronić bez dodatkowych aspektów wynikających z jej obecności przy mnie. Jednakże już wojownika Ambum pozostawiam na miejscu. Prawda bowiem przedstawia się tak, że z powodu swych gabarytów ciężko byłoby go ukrywać na piaskowych równinach. Podobnie, szczególnie będąc w ruchu, zużywa on olbrzymie zasoby pokarmu i wody. W związku z powyższym bez skrupułów pozostawiam go w towarzystwie jarl Albiny, z którą ostatnio tworzy niemal nierozłączną parę i chyba domyślam się dlaczego, mając w tym własny udział.

Tymczasem w palącym skwarze przemierzamy konno piaskowe, wypalone ostrym słońcem przestrzenie. Świadomie unikamy miast, wiosek, a nawet pomniejszych oaz. Słowem każdego miejsca, gdzie moglibyśmy napotkać żywe istoty i zdradzić własną obecność. Na szczęście zabieramy na tyle duże zapasy, że powinny nam wystarczyć aż do celu podróży, a po części nawet na drogę powrotną. Podjęta przez nas misja wydaje się ostatnią deską ratunku, więc przed wyjazdem nie wahamy się wypełnić po brzegi juki naszych wierzchowców.

I tak bez nieprzyjemnych niespodzianek z wolna docieramy w okolice miasta Tamroszach, stolicy chanatu Precis. Zostaje nam może dwa dni drogi konno, a do pełni księżyca mamy jeszcze cztery dni, w związku z tym wszystko wskazuje na to, że się nie spóźnimy.

Do tej pory ze względu na osłaniający nas mrok oraz upały podróżujemy głównie nocą, a w jasne dni kryjemy się przed parzącym słońcem w cieniu

namiotów. Obecnie jednak niebo dłuższy czas zasnuwają białe obłoki, dlatego decydujemy się nadrobić jeszcze trochę drogi i postój czynimy dopiero późnym popołudniem. Rozkładamy obozowisko, tradycyjnie bez wzniesienia ognisk, i raczymy się posiadanym prowiantem.

Osobiście posiłki spożywam jedynie w towarzystwie Lisoti. Zwykle nie wiele rozmawiamy, ale rozumiemy się całkiem dobrze i chyba też całkiem nieźle czujemy we własnym towarzystwie.

Z kolei z Allearami ciągle nie mogę nawiązać bliższej zażyłości, a wobec tego z czasem przestaję o to zabiegać i ponawiać daremne próby. Godzę się z tym, że przedstawiciele tego starożytnego ludu są mentalnie dość dalecy ode mnie. Zatem po prostu pozostaję ich wodzem, a oni moimi wojownikami. Taka łączy nas relacja i nie mam już potrzeby jej ulepszać, dodając coś na siłę, czy też udając, że rozumiem ich zachowania, których do końca nie rozumiem, co nie znaczy, że ich nie akceptuję.

Podobnie jest i teraz. Jedyna Allearka na tej wyprawie, która sama się na nią zgłasza, rozbiera się do naga i staje na czworakach. Natomiast niektórzy z mężczyzn, po skończonym posiłku, za sprawą tej kobiety, niczym deserem, raczą się z nią cielesną miłością.

Sam już wiem, że nie chodzi tu o zwykłą chuć. Jestem świadkiem allearskiej tradycji, w myśl której jeżeli kobieta nie chce mieć partnera, a pragnie potomka, to w ten sposób udostępnia swe ciało. Synowie czy córki z takich aktów zwani są potem dziećmi jednej matki oraz wielu ojców. I z reguły mają zapewnioną opiekę, ponieważ każdy ze współżyjących z kobietą mężczyzn jednocześnie deklaruje się tym samym wspierać jej późniejsze potomstwo.

Zatem przegryzając kawałek czerstwego chleba, jakby od niechcienia przyglądam się trzeciemu już mężczyźnie za kobiecymi pośladkami. A czynię to, ponieważ w otaczającej, pustynnej pustce, praktycznie nie ma na czym innym zawiesić wzroku. Aż w pewnym momencie gestykułuje do mnie Lisotia:

– „Powinieneś być następny”. – Wskazuje na kobiecą postać na czworakach.

– Nie mam takiej potrzeby... – odpowiadam szczerze i nie wiedzieć czemu w wyobraźni pojawia mi się obraz Nail. Zakonniczka jednak nie

ustępuje:

– „To niestosowne z twojej strony i to bardzo, ta wstrzemięźliwość”.

– Czemu? – zapytuję nieco zaskoczony, ponieważ we własnym mniemaniu właśnie przejawiam dobre maniery, okazując szacunek, gdy biorę na wodze zwierzęce instynkty. Lisotia wyjaśnia:

– „Chyba słabo znasz zwyczaje Allearów. Ta kobieta specjalnie zgłosiła się na bardzo niebezpieczną misję zapewne ze względu właśnie na ciebie. Ona chce mieć dziecko i zapewne marzy, abyś otoczył jej przyszłego potomka opieką, jako ktoś wpływowy. Ty jednak nawet nie próbujesz do niej podejść. To dla niej zniewaga i poniżenie. Ona przez to rozumie, że nie chcesz z nią dziecka, bo nie jest ciebie godna i nią gardzisz”.

– Więc... czynię tej kobiecie zawód...? – Robię cały zestaw zdziwionych min.

– „Nie inaczej” – potwierdza Lisotia. – „Być może ta Allearka jutro zginie za twoją sprawę i uczyni to z bolesną świadomością, że przez ciebie samego została poniżona. Zresztą odkąd wspólnie wyruszamy w drogę, nie zbliżyłeś się do mnie ani razu, mimo że sypiamy w jednym namiocie. Zatem na pewno masz w sobie głód kobiecego ciała i uczynienie tego, co trzeba nie byłoby dla ciebie wielkim wyrzeczeniem”.

– Zaiste... raczej niezbyt dużym... – mruczę w lekkiej zadumie i robię kwaśną minę, przyglądając się intensywniej kobiecie na czworakach. Ta Allearka, jak to Allearka; jest bardzo wysoka i niezwykle szczupła, młoda, całkiem ładna oraz z jasnymi włosami i właśnie odstępuje od niej trzeci kochanek, a pozostali zdają się nie wyrażać nią zainteresowania. Lecz ona pochyla nisko głowę i najwyraźniej czeka dalej.

Trwa to pewien czas, aż pchany poczuciem obowiązku, niczym innym, tak przynajmniej pragnę uważać, wstaję ociężale ze zwirowatego piasku. Kroczę pod lekko zasnutym chmurami niebem i klękam za kobiecymi pośladkami. Gładzę na nich dłonią delikatną, ciepłą skórę i jędrne krągłości. Wtedy na moment Allearka patrzy na mnie z ukosa, a ja dostrzegam w jej błękitnych oczach dumę. I dalej nie opuszcza już ona głowy, a spogląda zdecydowanie przed siebie.

A już za chwilę obejmuję tę kobietę w talii tak wąskiej, jak u osy i kocham się z nią w pozycji, w jakiej się udostępnia. Sam najpierw

odczuwam typową przyjemność płynącą z miłosnego zespolenia. Miłe doznanie z czasem narasta, aż pojawia się specyficzne napięcie, które domaga się ujścia. Potem wzbiera we mnie, znana mi, tak intensywna fala podniecenia, której po prostu nie sposób dłużej powstrzymać żadnymi siłami. Przez to w szczytowym momencie odruchowo ściskam wąską talię, zamykając ją niemal w dłoniach oraz przyciągam do siebie, wpatrując się w drobne, napięte pośladki Allearki. I oto są: błoga ulga, pełna rozkosz i umysł, który na jedną chwilę wydaje się wręcz unicestwiony – to doprawdy cudowne, dosłownie wyzwalające i pełne magii, chociaż czysto fizyczne, odczucie.

Po pełnym akcie bez pośpiechu zwyczajnie się ubieram, moja kochanka także, mimo że pozostali mężczyźni nagle zwracają na jej wdzięki większą uwagę i stają na równe nogi. Lecz zaraz zauważam, że i Lisotia również przybiera pozycję pionową, a do tego chwyta swój oręż w postaci tarczy i włóczni. Ponadto dostrzegam z rosnącym niepokojem, że zakonniczka prezentuje postawę bojową.

Coś mi tu coraz bardziej nie pasuje. Dlatego sam, jeszcze oszołomiony miłosnym aktem, podążam wzrokiem za spojrzeniem Lisoti i raptem spinają się we mnie wszystkie mięśnie. Oto zauważam ciągnącą ku nam ze wszystkich stron olbrzymią, meduzowatą breję krwistego mięsa pokrytego porwaną skórą, spomiędzy której płynie krew. To coś przelewa się w naszym kierunku po piasku, to podchodzi na wielu parach nóg i wyciąga przed siebie liczne ramiona ustawione pod nienaturalnymi kątami.

Zastanawiam się gorączkowo, z czym takim mamy do czynienia, gdy wtem przypominam sobie opowieści Viri o bezkościstym potworze z pustyni chroniącym drzewo-szamankę w Otchłani. Zatem teraz to coś zapewne broni samego Boga świętości i walki, Biramond, a nas samych ma, i słusznie, za wrogów.

Spoglądam jeszcze na nasze rumaki, zastanawiając się, czy w tych okolicznościach najlepszą strategią nie będzie po prostu pospolita ucieczka. Niestety moje rozeznanie w terenie skutkuje tym, że zdaję sobie sprawę, iż przez namierzone przeze mnie maskary jesteśmy okrążeni i nie mamy bezpiecznej drogi w żadną stronę.

Na domiar złego nagle spłoszone wierzchowce zrywają się z uwiązania i w panice ruszają we wszystkich kierunkach do szaleńczego galopu. Co owocuje tym, że zostają pochwycone w macki oraz ramiona mięsnego monstrum i błyskawicznie zassane do środka, po czym jakikolwiek ślad po nich w mgnieniu oka ginie.

Zatem dociera już do mnie, że jesteśmy bezwzględnie skazani na śmiertelną konfrontację. W związku z tym w pośpiechu poszukuję w umyśle, co też Viria opowiadała o sposobie walki z wrogiem bez kości. Ponoć skuteczne są jasne promienie słońca, lecz na te przez dłuższy czas nie mamy co liczyć, bowiem niebo ciągle dość szczelnie zasnuwa całun z chmur. Jednak nagle przypominam sobie, że pozostaje jeszcze jedna możliwość!

– Do mnie! Wszyscy do mnie! – przyzywam zdecydowanie moich ludzi, którzy w komplecie już także zdają sobie sprawę z wagi niebezpieczeństwa i uzbrojeni są gotowi do walki. Następnie, kiedy są wokół mnie, gniewnie dodaję: – Musimy natychmiast złożyć ofiarę! Niezbędne są świeże kości oraz mięso, a także ogień!

Na moje wezwanie Lisotia rzuca się do końskich juk i biegiem powraca z krzesiwem oraz gotowym opałem, jak i tak zwaną krwią Arezara, płynem do błyskawicznej podpałki. Natomiast każdy z siedmiu Allearów, w tym również allearska kobieta, wyciąga ku mnie lewą rękę. Sam czynię odrażający wyraz twarzy, wiedząc, co muszę zrobić, ale nie mam wyboru, żadnego.

Dlatego zdejmuję z pleców długi miecz i chwytam go oburącz, gotowy odciąć niezbędną dla odprawienia rytuału kończynę. Chwilę się waham, komu uciąć dłoń. Ale nie ma czasu na dylematy. Raptownie opuszczam miecz i odcinam rękę poniżej łokcia jednemu z allearskich wojowników, który nie wydaje z siebie żadnego odgłosu, a jedynie pada chwiejnie na oba kolana. Lisotia przypala mu kikut żagwią z już wznieconego ogniska, a ja wrzucam w płomienie odciętą kończynę.

Gdy tylko to czynię, wskazuję pozostałym wojownikom, aby stanęli w kręgu i walczyli ze wszystkich sił. Nie mamy wyboru, dopóki płomienie odpowiednio nie nadtrawią mięsa i kości, dopełniając tym samym ofiary, musimy się utrzymać albo przyjdzie nam zginąć.

Uzbrojony obecnie w dwa krótkie ostrza tuż koło siebie mam Lisotę, a z boku jednego z allearkisch wojowników z mieczem i tarczą. Czekamy w napięciu, aż nadciągająca maskara znajdzie się w zasięgu naszego oręża i wtedy godnie damy jej odpór!

W ruch idą klingi mieczy i grot włócznie zakonnicy oraz tarcze dla osłony. Szatkujemy zgodnie mięsiste tkanki, które pod wpływem ostrej stali rozwarstwiają się w krwawej posoce, to scalają w jedność i nieustannie prą na nas.

Szybko krwawa masa bez kości zaczyna nas spychać do tyłu, gdzie w centrum stworzonego przez nas kręgu płonie ofiarne ognisko. Jednak się nie poddajemy, nawet nie mamy zamiaru!

Kiedy na moment zostaję wytracony z równowagi, me ciało przed wyciąganymi ku mnie kończynami potwora, osłania Lisotia. Potem ona czyni wypad włócznią, a ja ubezpieczam kobietę, siekąc wysuwające się przed nią nogi monstrum. Również pozostali wojownicy współpracują, na przemian atakując, to przechodzą do obrony i cały czas nieustrudzenie wspierają się nawzajem.

Aż raptem jeden z Allearów zostaje gwałtownie wessany przez moduozwate monstrum, a w powstały wyłom od razu wlewa się mięsna papka pokryta nogami i rękoma niczym roślinnymi odrostami z grubego konaru. I nie mamy już możliwości uszczelnić szyku, aby zapobiec nadchodzącej nieuchronnie katastrofie. W tym momencie przestajemy współdziałać i chronić się nawzajem, a każde z nas toczy już jedyni rozpaczliwą walkę o własne przetrwanie.

Sam daję z siebie wszystko, młóćąc bez opamiętania ostrzami, ale doprawdy niewiele dobrego z tego wynika. Odcinam kawałki mięsa i cały jestem zalewany krwią, lecz i tak się cofam, a zaraz potykam i padam na plecy tuż koło ogniska. Jego płomienie przypalają mi włosy i częściowo skórę czaszki, ale to nic nie znaczy, bo nagle dokonuje się to, co najgorsze. Oprócz zapachu spalonych włosów czuję także nowy, intensywny swąd pieczonego mięsa. To potwór z pustyni wtacza się wprost w ognisko i gasi je, zanim dopełniona zostaje ofiara.

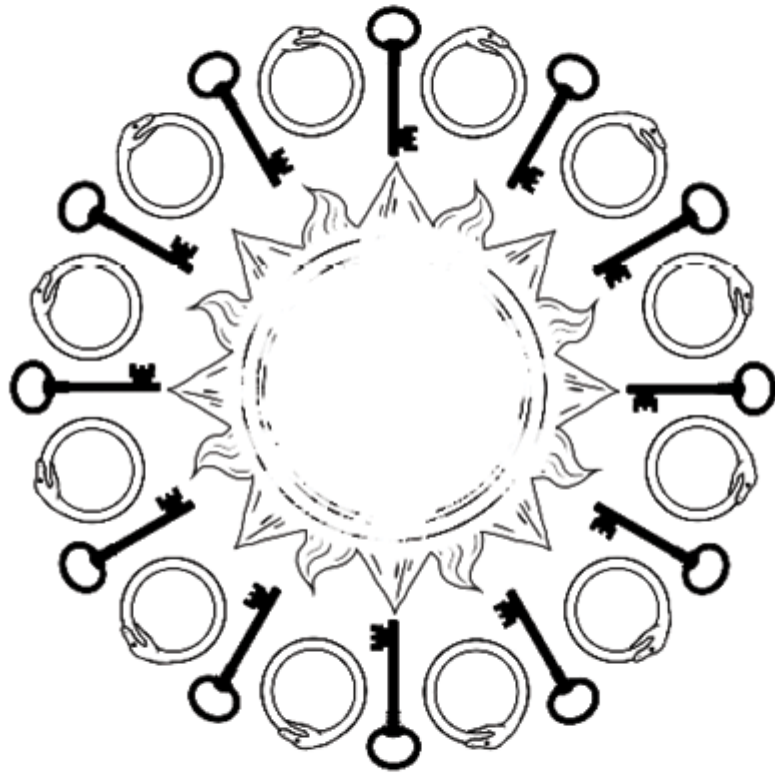
Zdruzgotany staję na nogi i rozglądam się rozpaczliwie naokoło. Jeden z Allearów, ten okaleczony, jest od pasa w dół pochłonięty przez mięsną

breję, a mimo to ciągle walczy. Podobnie Lisotia ma nogi do kolan w oplatającym ją wściekłym mięsie, które dźga zawzięcie włócznią. Z odrazą też dostrzegam, że allearska kobieta leży bez życia na piasku, a potwór zasysa w głąb siebie jej głowę.

– Nie! – wydieram ze swej piersi rozdzierający krzyk, akt absolutnej rozpacz. – Nie! – ponawiam błagalne wołanie skierowane wprost ku niebiosom.

I naraz muszę aż przysłonić twarz dłonią od gwałtownie świdrujących me oczy ostrych promieni słońca. Następnie, ciągle osłaniając twarz ręką, rozglądam się i dostrzegam potwora, który raptem zapada się pod powierzchnię pustyni niczym w ruchome piaski.

Niebawem otacza nas już tylko spokój i cisza na niezmierzonej pustyni. Nas, ocalałych za sprawą samych niebios, czyli mnie samego oraz pięciu mężczyzn, allearskich wojowników. Jakikolwiek ślad po całej reszcie całkowicie znika.



III. W TAMROSZACH

Przez resztę drogi do stolicy chanatu Precis we dnie towarzyszą nam ostre promienie spalającego słońca. Zaś nocami zgodnie jaśnieją na niebie księżyc oraz gwiazdy i zapewne te właśnie źródła światła są przyczyną tego, że nie dotyka nas więcej czarna magia w postaci ataku mięsnego stwora bez kości.

Jednocześnie zastanawiam się, czy sama Nail nie musiała się na ten przykład zmierzyć z opisywanymi przez Virię równie morderczymi szkieletami. Ponieważ nadchodzi akurat pełnia, jesteśmy już we właściwym miejscu, a ciemnoskórej przywódczyni Allearów oraz jej podkomendnych, jak nie było, tak nie ma.

Jednak poza zasadnym niepokojem o Nail, muszę się przede wszystkim martwić o własną drużynę. Tracę już bowiem niemal połowę składu osobowego w tym Listotę, przewodnika z chanatu, moją allearską kochankę oraz wojownika, któremu odcinam dłoń. Pozostała nas zatem szóstka. Jedyne szóstka wobec zapewne wielu setek obcych wojowników w Tamroszach, strzegących drogi do samego Biramond, mego przeklętego, gniewnego brata, który to mienił się niegdyś świętym, co za paradoks.

I w tym momencie, chyba jak nigdy rozumiem naturę gniewnych Bogów o półludzkiej oraz półzwierzęcej postaci. Ich rodzice; Anrea i Abezzal, byli bowiem Bogami przejawiającymi się jako czysto człowiecze istoty, w konsekwencji w swych działaniach przejawiali głównie ludzkie i boskie skłonności. Wznosili się w na wyżyny, jako Bóstwa, bądź czynili błędy lub pogrążali w dylematach, jako ułomni przedstawiciele ludzkiego gatunku. Natomiast ich pierwsza piątka dzieci posiada w sobie zwierzęce piętno, swoistą tępotę oraz upór, coś, co je zaślepia i pozwala na bestialskie postępowanie oraz okrucieństwo zupełnie bez wyrzutów sumienia. I myślę, że to zazdrość wyzwoliła w nich niepohamowany, zwierzęcy gniew, który przysłała im inne cechy boskie czy ludzkie. Przez to są oni teraz niczym

rozjuszone, dzikie zwierzęta, z którymi nie sposób się porozumieć i które wszędzie widzą tylko swych konkurentów i wrogów zagrażających ich naczelnej pozycji niczym przewodników alfa w stadzie. Nie dostrzegają innej alternatywy niż przemoc oraz fizyczna eliminacja przeciwników.

Lecz skoro tak, to ich miejsce nie jest w sercu Pendorum, oni należą już do Otchłani. I zaprawdę powiadam, że niebawem wyślę ich tam i to jednego po drugim. Uczynię to nie tylko za Nail, jeżeli coś jej się stało, ale także za Lisotę, również kobietę, z którą się ostatnio kochałem, czy Alleara, któremu odcinam rękę oraz za całą rzeszę niewinnych istnień uśmierconych już w powstałym bezsensownym dla mnie konflikcie, jak i tych, którym przyjdzie jeszcze w nim zginąć.

Z takim oto moim niezłomnym postanowieniem kończy się pełnia księżycy i po nocy nastaje błądy świt. Nail się nie zjawia. Więc ja sam wespół z piątką Allearów wyruszam właśnie za mury Tamroszach, aby podłożyć podwaliny pod ziszczenie się przepowiedni mej świętej matki i w przyszłości uratować Pendorum. Odnajdziemy Boga świętości oraz walki, Biramond, i ku jego zgubie zdemaskujemy chroniący go znak.

*

Po dotarciu do murów w kolorze ciemnego piasku okalających miasto czekamy do zmierzchu. Wówczas przywdziewamy na dłonie żabie macki, pamiątki od Ravela, te same, które pomogły mi się już dostać do twierdzy Harensen. Obecnie za ich sprawą już w mroku nocy osiągamy górny pułap murów, po czym opuszczamy się po linach na sam dół. Od tego momentu kroczymy czarnymi wręcz, ulicznymi zaułkami w kierunku centrum miasta, gdzie stoi górujący nad zurbanizowaną powierzchnią pałac.

W trakcie ostrożnego przemieszczania się piaszczystymi ulicami pomiędzy domami z gliny i cegieł nie napotykamy żywej duszy ani mieszkańców, ani też strażników. Ponadto towarzyszy nam martwa cisza. Naprawdę można by pomyśleć, że miasto jest wymarłe i aż do samego siedliska władcy pogrążone w absolutnym mroku. Dopiero sam pałac uwidacznia wokół siebie jaśniejącą poświatę, efekt nielicznych za to okazałych rozmiarów zniczy z płonącym w nich złocistym ogniem.

Wychodzimy skryci naprzeciw właśnie dwóch takich źródeł światła usytuowanych wysoko na kamiennym monumencie, będącym elementem

ściany pałacu i wtedy stajemy jak wryci. Zauważamy bowiem cały szereg stojących koło siebie wojowników z głowami ptaków, którzy ciasnym łańcuchem otaczają od tej strony siedzibę władcy. Natomiast na wspomnianym, wysokim bloku skalnym, pomiędzy płonącymi zniczami, widzimy cztery kamienne słupy, do których przywiązane są cztery kobiece postacie. Przyglądam im się uważniej i aż ściska mi serce, kiedy w półmroku rozpoznaję sylwetki Nail, a także Lisoti, porwanej Allearki z mego oddziału, a do tego zupełnie niespodziewanie jednorękiej Roksin już bez ciężowego brzucha.

Odruchowo cofam się o krok i z trudem przełykam ślinę, gdy dociera do mnie, że oto mam przed sobą trzy tak dobrze znane mi nieme kobiety oraz czwartą, której na dobre nie zdążyłem poznać. Zaś dostępu do nich i zapewne Boga Biramond strzeże cała armia półludzkich wojowników, których obecnie nie dam rady pokonać, tych stoi tutaj stanowczo zbyt wielu.

Wobec takiej diagnozy sytuacji zaraz już się nie cofam, a zataczam do tyłu, uświadamiając sobie moją absolutną bezradność. Wciskam się w czarny kąt pomiędzy budynkami, kucam i zasłaniam twarz dłońmi. Nic bowiem, żadna z rzeczy, które do tej pory przechodzę, nie przygotowują mnie nawet po części na terazniejszą sytuację i całkowitą bezsilność z mej strony. Wiem, że muszę coś uczynić, a równocześnie nie mam ku temu żadnych, stosownych środków. Nie mogę iść naprzód i nie mogę zawrócić! Co zatem powinienem uczynić...?

Naraz czuję na ramieniu dotyk. Lecz zanim spojrzę, kto stoi przede mną, dociera do mnie, że na moim ciele spoczywa chłodna stal. Dlatego gwałtownie odrywam się od glinianej ściany i porywam w bok, gotowy do walki, po czym skaczę na zatopioną w mroku postać. Staram się ją pochwycić wpół i wykonać nią rzut. Ale ta gwałtownie uderza mnie opancerzoną dłonią w tors i plecami zderzam się z glinianym murem.

Oszołomiony chcę ponowić próbę ataku na istotę w czarnej zbroi, na której głowie dostrzegam dwa sterzące rogi. Czyżby więc był to jakiś demon z Otchłani? – myślę naprędce o niepokojącym zwieńczeniu czaszki przeciwnika, mając równocześnie na uwadze jego ręce, w tym jedną z metalową buławą, którą zapewne spróbuje mi zadać śmiertelny cios.

Jednak postać przede mną nieoczekiwanie chowa broń za pas. Pokazuje mi otwarte dłonie, pokojowy gest i przykłada sobie do ust wyciągnięty palec, sugerując ciszę. Z tą chwilę, naraz nieco uspokojony, luzuję swoją postawę bojową, a jednocześnie za plecami istoty z rogami dostrzegam inne rogate cienie. Koło nich stoją moi Allearzy z bronią w gotowości.

I raptem doznaję olśnienia, z kim takim wchodzę w kontakt. To niewątpliwie wzgardzony ostatnio w chanacie Zakon Lancy Czarnego Orła z jego wyklętymi przedstawicielami w postaci zakonników zakutyh w stal i w rogatych hełmach na głowach.

Wraz z tym odkryciem czynię powolny ruch ręką w kierunku Allearów z zamiarem ich uspokojenia, co wkrótce mi się udaje. Wtedy postać naprzeciw mnie wskazuje mi kierunek ręką i zachęca, abym podążył wraz z nią. Nie waham się. W zaistniałej sytuacji oraz w obliczu moich domysłów nie mam ku temu powodu i daję się poprowadzić.

Tak przemierzamy w większej grupie kilka wąskich, zatopionych w mroku uliczek, aż zakonnik otwiera drewniane drzwi jednego z niepozornych domostw. W środku zdejmuje z podłogi wysłużoną derkę i odsłania tym samym klapę w podłodze. Podnosi ją i schodzi po kamiennych schodach na niższą kondygnację. Idę tuż za nim i po przejściu niemal czarnego, wąskiego korytarza trafiamy do całkiem obszernej komnaty oświetlonej płonącymi pochodniami, skąd wiodą inne drogi.

Tutaj jednak mój przewodnik się zatrzymuje i zdejmuje z głowy hełm. Podobnie czynią jego kompani w liczbie sześciu. Z kolei moi Allearzy stają solidarnie tuż koło mnie.

Przez chwilę mierzymy się nieufnymi spojrzeniami, aż mężczyzna z siwizną na głowie i w średnim wieku, który mnie tutaj przywodzi, przedstawia się, jako wielki mistrz zakonu czarnego orła. Potem wypytuje mnie o to, kim jestem i co tutaj robię. Zatem przedstawiam mu swoje imię oraz pochodzenie, a także zdaję relację z dramatycznej sytuacji w Pendorum, jak i zaznajamiam go z celem mej obecnej misji.

Wielki mistrz słucha mnie z uwagą, potakując co raz głową. Sam odwdzięcza mi się opowieściami o masakrze, jaka dokonana została w Tamroszach, gdzie pochwycono niemal wszystkich mieszkańców i za murami miasta zakopano żywcem po szyję w piasku. Zaś upał, prażące

słońce i pragnienie w ciągu kilku dni ściągnęły na nich śmierć. Stwierdza, że nielicznych ludzi udało mu się ukryć w podziemiach podobnych, jak te, gdzie się znajdujemy. Zapytuje mnie również czy na pustyni nie widziałem ludzkich, bielejących czaszek objedzonych ze skóry i mięśni przez pustynne mrówki. Oświadczam, że ten makabryczny widok umknął mym oczom. Co wielki mistrz kwituje stwierdzeniem, że widocznie pustynne zamiecie zrobiły już swoje, pokrywając truchła mężczyzn, kobiet i dzieci piaskiem. Następnie czyni dłuższą pauzę i wyraża wątpliwość wobec moich uprzednich słów:

– Na pewno jesteś synem mitycznej Anrei oraz Zana? Mogę ci zawierzyć? – mówi podejrzliwie.

– Któż inny by tutaj przybył i w jakim celu? Do tego u boku Allearów? – odpowiadam spokojnie. Na co straszy mężczyzna ozdabia swe czoło pogłębionymi zmarszczkami i ciągle wyraża pewną nieufność:

– Masz włosy jak boska Anrea, rude, i jej jasne oczy, to prawda. Ale oczy Bogini lśniły jasnym światłem niemal nieustannie. Sam to widziałem, kiedy ruszałem razem z nią w bój przeciw Tirze. Natomiast twoje oczy, wybaczn... – Czyni kwaśny grymas na twarzy. – Mógłbyś je rozświetlić, chociaż na chwilę...?

– Czasem mi się to udaje... – oznajmiam obojętnie.

– Kiedy? – zaciekawia się wielki mistrz.

– Gdy akurat kucnę gdzieś za potrzebą i bardzo mocno się napręzę, aby... no wiesz... – mówię tym razem już z wyraźną nutą lekceważenia w głosie, ponieważ to, kim jestem ma teraz dla mnie najmniejsze znaczenie. Moje myśli są nieustannie przede wszystkim przy Nail, pozostałych, więzionych kobietach oraz gniewnym Bogu Biramond.

Jednak mój rozmówca ma najwyraźniej inne priorytety, bo rozgląda się z uwagą po kątach pomieszczenia, zupełnie jakby szukał dla mnie dogodnego miejsca, abym mógł załatwić swą potrzebę fizjologiczną, a jego samego uraczyć nadzwyczajną światłością mych oczu. Choć te ostatnie zjawisko oczywiście nie może zaistnieć. Jestem bowiem jedynie półbogiem i nie posiadam w sobie pełnej boskości, której wyrazem są lśniące oczy. Dlatego ostatecznie porzucam wątek jasności mego spojrzenia i poruszam jedyne, który naprawdę mnie interesuje:

– Czy jesteście w stanie w jakikolwiek sposób nam pomóc, czyli doprowadzić nas do wnętrza pałacu? Jak wspominałem, muszę się tam dostać, aby ratować Pendorum. – Zaraz myślę, że nie tylko Pendorum, ale ten aspekt wolę w tej chwili przemilczeć. Natomiast wielki mistrz ciężko wzdycha i oświadcza:

– Nie pozostaje mi chyba nic innego, jak zawierzyć w twe słowa, synu Anrei bez lśniących oczu... W końcu w twoją matkę wierzyłem od samego początku i to od pierwszego razu, kiedy ją zobaczyłem właśnie tu w tym mieście. I to za sprawą tej wiary po śmierci poprzedniego wielkiego mistrza, namaszczonego przez zakonnika Arezara, Zana, ja sam zostałem przewodnikiem Zakonu Lancy Czarnego Orła. I być może zostałem nim dokładnie po to, aby teraz służyć synowi światłej Bogini i pomóc mu w ziszczeniu szlachetnego celu...

– Zatem?! – pytam bardziej żywo. – Jak dostaniemy się do pałacu? Może znacie jakieś sekretne przejścia? – Pokazuję na liczne podziemne drogi prowadzące z komnaty.

– Przejścia, o których wspominasz, zalano wodą – stwierdza wielki mistrz. – Budowniczości pałacu zostali wzięci na tortury i na męczarniach wyznali położenie większości tajnych komnat i przejść do pałacu. Tylko cudem nie wydało się to sekretne miejsce...

– Więc jak dostaniemy się do gniewnego Boga? – naciskam z pewną irytacją w głosie. Na co starszy mężczyzna spogląda na swoją buławę za pasem, potem na mnie i uśmiechając się z przekąsem, dumnie odpowiada: – Po prostu będziemy walczyć.

– Walczyć... – powtarzam, poklepywany poufale po plecach.

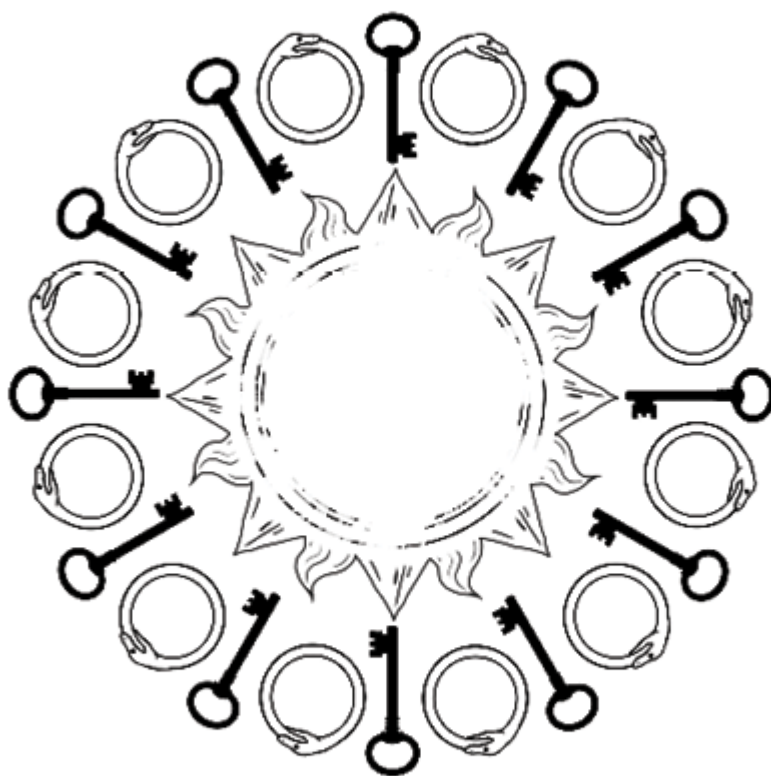
– Tak, aż do śmierci – potwierdza zakonnik.

– Jesteście gotowi zginąć?

– Za świętą ideę jedności i pokoju Pendorum...? Tak, za to warto jest oddać życie, jak za nic innego. I jestem przekonany, iż moi zakonni bracia podzielą mój pogląd. Wszak śmierć za świętą sprawę to w końcu nasze przeznaczenie, nieprawdaż? – Wielki mistrz poszerza uśmiech.

– Dobrze, zatem będziemy walczyć. – Odwzajemniam przyjazny grymas twarzy i z siłą w głosie zaznaczam: – Bądźcie świadomi, że poświęćcie się

dla czegoś naprawdę wielkiego. To bowiem właśnie tutaj, w tym mieście z gliny, piasku i kamienia stoczymy niebawem jedną z najważniejszych bitew w historii Pendorum. Proszę, zbierz swoich ludzi. Nie mamy co zwlekać.



IV. PAŁAC

Jest około północy. Na pustym, otulonym czernią nocy miejskim placu zbiera się ponad stu zakonników czarnego orła oraz ja sam z moimi wiernymi Allearami. Następnie realizujemy naprędce sklecony w mej głowie plan. A zakłada on zarówno uwolnienie pojmanych kobiet, jak i dotarcie do samego Boga Biramond, który powinien rezydować gdzieś w pałacu.

Tak oto na znak wielkiego mistrza jego zakonnicy wychodzą ławą przed potępionych wojowników z Otchłani i zbliżają się do nich równym krokiem i w ciasnym szyku. Tuż za nimi prowadzę mych Allearów i spoglądam z niepewnością w górę, gdzie na wysokim, skalnym podeście ciągle płoną dwa znicze, pomiędzy którymi stoją przywiązane kobiece postacie.

I raptem tuż pod ścianą pałacu dochodzi do morderczego starcia, gdzie ścierają się ze sobą podobne uzbrojeniem, jak i umiejętnościami istoty. Przy czym większością z nich kieruje mrok – to poplecznicy gniewnego Boga – pół-ludzie z głowami drapieżnych paków. Pozostali idą w swych czynach ramię w ramię z prawdziwą świętością, składając swe życia na ołtarzu dobra Pendorum.

Przez dłuższą chwilę obserwuję w mroku, jak masywne buławy uderzają o tarcze, to dosięgają rogatych hełmów czy potężnych, czarnych zbroi. Walka jest zażarta i trzeba doprawdy wielu ciosów, aby powalić danego przeciwnika. Jednak zakonnicy zyskują przewagę pod murem i niebawem oczyszczają dostateczną jego część z pomiotów otchłani. Następnie święci wojownicy zakonu rozlewają się na dwie strony wzdłuż monumentu, niczym czarne rzeki i kontynuują stracie z nacierającym wrogiem. Z kolei ja oraz moi Allearzy mamy teraz otwartą drogę po skalnej ścianie wprost na górę.

Zatem ponownie używamy złodziejskich narzędzi Ravela. Za pomocą żabich przyssawek na dłoniach z wielkim mozołem wspinamy się wzwyż, ponieważ cały wysiłek spoczywa teraz jedynie na naszych ramionach. Stopy nie są w stanie znaleźć żadnego oparcia na śliskiej nawierzchni z wypolerowanego kamienia.

Na dole wciąż trwa mordercza walka, zaś pierwsi z nas, w tym ja sam, osiągamy szczyt monumentalnej, skalnej bryły, zewnętrznego elementu pałacu. Wspinam się na nią i ze złością dostrzegam, że przy czterech pomniejszych, kamiennych blokach pomiędzy zapalonymi zniczami nie ma już przywiązanych kobiet. Za to zauważam je dalej w głębi korytarza prowadzącego do wnętrza siedziby władcy. Lecz co znamienne, ciągnięte są one przez strażników gniewnego Boga ze sztyletami na swych gardłach. Ponadto przed nas wychodzi grupa półludzkich wojowników z głowami ptaków.

Moje ręce drżą jeszcze od niedawnego wysiłku, ciężkiej wspinaczki, ale nie mam wyboru, nadchodzi bowiem czas walki. Dlatego jako pierwszy skaczę na przeciwników, aby dać Allearom możliwość wspięcia się do końca na skalny monument.

Tuż przed pierwszym wrogiem czynię wślizg i zatrzymuję swe ostrza na opancerzonej pachwinie. Nieprzyjemny zgrzyt metalu uświadamia mi, że nie czynię wrogowi krzywdy. Zatem z pozycji na klęczkach szybkim wymachem nóg podcinam potępieńca. Pada tuż koło mnie, a wtedy wbijam mu czubek ostrza w szparę na oczu w zamkniętym, ptasim hełmie. Drugim ostrzem osłaniam się przed ciosem buławą innego wojownika. Ten zaraz pada z trzema allearskimi strzałami w ptasiej twarzy, również trafiony celnie w oczy.

Kolejnych dwóch wrogów kroczy wprost na mnie, więc staję im naprzeciw. Atakują mnie buławami, a ja odwzięczam się ciosami mieczy. Jednocześnie się cofam aż na skraj monumentu. Zaś kątem oka zauważam, że Allearzy walczą z innymi przeciwnikami, więc tym razem nie mogę liczyć na ich pomoc.

Skoro tak, to chowam ostrza do pochew. Umiejętnie chwytam za ramię jednego półczłowieka, gdy robi na mnie wymach obuchową broni, po czym ciągnę go ku sobie, aż ten leci daleko w dół z bloku skalnego.

Drugi z pół-ludzi atakuje mnie już z większą ostrożnością, zasłaniając się tarczą i walczy bardziej na dystans. Sam krocę wzdłuż skraju monumentu, balansując na jego krawędzi. Aż raptem chwieję się, wymachując energicznie rękoma, kiedy tracę równowagę.

W tym momencie wróg napiera na mnie z całych sił. Ale w ostatniej chwili się zatrzymuje, gdy od jego hełmu odbijają się dwie Allearskie strzały. To mi wystarcza, aby opanować sytuację.

Odzyskuję równowagę, chwytam pomiot Otchłani wpół i zapaśniczym rzutem przetaczam nad sobą. Tak oto pozbywam się jeszcze jednego wroga, który w ciężkim pancerzu spada z głuchym hukiem u stóp monumentu.

Z tą chwilą rozglądam się za innymi przeciwnikami, ale ich tu nie widzę. Za to zauważam, że pozostaje ze mną już tylko trzech allearskich wojowników. Wzdycham ciężko na ten widok, ale nie daję po sobie poznać słabości i już czynię do pozostałych przy życiu Allearów zachęcające gesty, aby podążyli za mną w głąb pałacu.

Czynią to i wkrótce błądzimy istnym labiryntem korytarzy, nadziewając się co raz na parę półludzkich strażników i pokonując ich w trudnej walce. Równocześnie staram się otwierać każde mijane drzwi w nadziei, że odnajdę za nimi poszukiwane kobiety bądź gniewnego Boga. Do tej pory robię to bez spodziewanego rezultatu.

Aż pewnym momencie podłoga pode mną się rozstępuje. Razem z allearskimi wojownikami spadam dłuższy czas, po czym z donośnym pluskiem wspólnie lądujemy w wodzie oraz niemal całkowitym mroku, który rozświetla jedynie skąpe światło u góry, gdzie widnieje krawędź zdradliwej zapadni. Natomiast koło nas, na dole, jawią się wielce podejrzanym, dwa czerwone punkty, które się przybliżają.

Naraz w ciemnościach, oprócz głośnego chlupotu wody, rozlega się potępieńcze wycie i jeden z Allearów zostaje pochwycony, jakby jakąś tajemną siłą, a następnie raptownie pociągnięty ku czerwonym punktom. A zaraz krzyczy on w męczarniach, rozrywany brutalnie na strzępy.

– To xeratoks! – wyrzucam z siebie z wrażenia, bowiem to musi być ten właśnie potwór. Demaskuję go po typowym sposobie jego ataku. Aby mu się skutecznie przeciwstawić, zdejmuję z pleców dwuręczny miecz. Podążam za czerwonymi ślepiami i to dokładnie w nich pragnę umieścić

czubek mego ostrza. Jednak brnę w wodzie zanurzony niemal po tors, przez co moje ruchy są spowolnione i ociężałe. Dlatego naraz radykalnie zmieniam taktykę.

Chowam miecz i dobywam zza pasa dwa noże, po czym nurkuję. Płynę pod wodą, która w ciemnościach wydaje się czarna i kiedy sądzę, że jestem już pod zwierzęciem, kieruję się do góry. Zderzam się z twardą powierzchnią i ile mam tylko sił uderzam w nią ostrzami. Zgodnie z oczekiwaniem trafiam w miękkie podbrzusze bestii, w której trzewiach co raz skutecznie zatapiam ostrza.

Aż raptem czuję, że coś chwytą mnie za łydkę i gwałtownie ciągnie. W wyniku tego zaraz znajduję się w pozycji poziomej pod wodą i tym razem zginam się wpół, aby dosięgnąć uzbrojonymi dłońmi tego czegoś, co mnie niewoli. Szybko też kończy mi się powietrze w płucach i za moment po prostu muszę się wynurzyć!

Na szczęście daję radę przeciąć język xeratoksa wokół mej nogi i czym prędzej płynę ku powierzchni, aby zaczerpnąć tchu. Czynię to gwałtownie, a jednocześnie rozglądam się za złowrogimi, czerwonymi ślepiami bestii. Lecz dostrzegam w mroku jedynie nieśmiałe, majaczące, czerwone punkty, a mej obserwacji towarzyszy przeraźliwe wycie potwora przypominające wyraz prawdziwego cierpienia.

I w tym momencie już się domyślam, co spotyka krwiożerczego xeratoksa. Otóż poza tym, że właśnie traci on swój złowrogi jęzor, a z brzucha wylewają mu się do wody wnętrzości, to allearskie strzały na dobre pozbawiają go wzroku.

– W górę! – wydaję komendę wobec domysłów, że dotkliwie okaleczony potwór już nam nie zagraża. Wspinamy się więc we trójkę po pionowej ścianie za pomocą rękawic z żabich łap. Udaje nam się dotrzeć do celu i wznawiamy pospieszne przeczesywanie ciemnych korytarzy oraz otwieranie kolejnych drzwi. Aż w końcu za parą podwójnych wrót wita nas widok wszystkich poszukiwanych przez nas postaci, wszak jest tu ktoś jeszcze.

Znajduję się teraz u wejścia do niezwyklej komnaty przypominającej łaźnię. W jej centrum jest obszerny basen z parującą od gorąca wodą, a wokół porozstawiane są płonące znicze. Z kolei tylna ściana jest zdobnym

witrażem. I to właśnie tam, pod szklaną ścianą z malunkami, stoi Bóg Biramond. Lecz nie sam, a z dzieckiem w jednej dłoni, zaś w drugiej dzierży on sztylet. Ponadto przed basenem obserwuję cztery znane mi kobiety trzymane z nożami przy gardłach przez półludzkich strażników. Począwszy od prawej jest to Nail, w środku Roksin, dalej Allearka, której imienia nie znam, a z lewej Lisotia. Są to zarazem cztery kobiety, z którymi swego czasu się fizycznie kochałem.

Obecnie jednak koncentruję uwagę na postaci bez ręki, na jej płaskim już łonie, po czym przenoszę wzrok na dziecko w ręku gniewnego Boga. I już wiem, czyje jest to niemowlę, w powstałych okolicznościach nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Wobec tego widoku i uczucia nagłej bezradności uginają się pode mną kolana i padam wprost na nie, a miecze wypadają mi z dłoni. Nagle bowiem uświadamiam sobie, że wszystko, co się tu odbywa, jest najwyraźniej przez Boga Biramond zaplanowane. Zwabia mnie tutaj, swojego brata, za pomocą drogich mi osób. Tylko po co? Aby poddał się w obliczu groźby zabójstwa wszystkich bliskich mi istnień? Czy może pragnie je właśnie uśmiercić na moich oczach? Bo wtedy niewątpliwie i mnie uczyni już martwym, albowiem me serce niechybnie rozpadnie się na tysiąc kawałków.

Kłęczę tak, kręcąc z niedowierzaniem głową. Aż raptem wspominam moją matkę, mityczną Anreę, To przecież za jej sprawą tu teraz jestem i dane mi jest przeżywać katusze. Lecz ona jest matką stworzycielką niezliczonej ilości przyczyn, rzeczy oraz istot, w tym nie tylko tej sytuacji, ale również mnie samego czy mego brata naprzeciw, w którym także musiała zaszcześcić swą iskrę współczucia oraz dobroci. Zatem zdaję się na desperacką próbę i z imieniem mitycznej Anrei na ustach wydzieram ze swej piersi bolesny krzyk:

– To ona, nasza matka, Anrea, sprawiła, że istniejemy! Przeto mamy część jej świątłej duszy w sobie, a obecnie jej krew w żyłach! Szczycimy się tym i słusznie! Ale dziecko, które trzymasz i któremu grozisz śmiercią, również należy do potomka mitycznej Anrei! Tak! To moje dziecko, a jej potomek i twój krewniak. Wiesz o tym! A skoro tak, to niech światłość naszej wspólnej matki rozproszy twój absolutny mrok i zaślepienie! Przejrzyj na oczy i nie dopuść się największego świętokradztwa, zabijając

potomka swej własnej matki! Uczyń to, a gniew i klątwy ze strony wszystkich Bogów oraz ludzi będą cię ścigać aż po kres istnienia, zaklinam cię!

Po tej mowie gniewny Bóg Biramond przekrzywia swą głowę drapieżnego ptaka i spogląda na mnie jednym to drugi okiem. Następnie zastyga dłuższy czas w bezruchu, po czym rzuca trzymane dziecko do góry ponad basen i lustro wody. Zaś uwolnioną rękę wymowne przeciąga pod swym gardłem, dając tym samym znak do egzekucji bezbronných kobiet trzymanyh przez pomioty Otchłani.

I wtedy czas, jakby staje dla mnie na moment w miejscu. Z pozycji na klęczkach widzę dziecko opadające do głębokiej wody oraz czterech półludzkih wojownikóh przymierzających się do podcięcia kobiecych gardeł.

Muszę podjąć błyskawiczną decyzję, kogo zdecyduję się ratować. Lecz ta decyzja zostaje podjęta niejako za mnie. Nagle bowiem czas wraca w swe zwykłe ramy, a ja pospiesznie chwytam miecze z posadzki i porywam się wściekle do przodu, krzycząc jak w amoku:

– Walczcie!

Dobiegam uzbrojony do najbliższej mnie Roksin i w tej samej chwili z jej rozciętego gardła chlusta na mnie jej ciepła krew. Zagryzam z wściekłości zęby, niemal miażdżąc je w swojej szczęce i uderzam raz za razem mieczami oprawcę umierającej matki mego dziecka. Obijam do nieprzytomności klingami ptasią głowę, a potem z prawdziwą nienawiścią zatapiam dwa czubki mieczy we wnęce w hełmie na oczy. I nie czekając, rzucam się na pomoc drugiej Allearce.

Zostaje ona pchnięta na mnie i nie inaczej tylko wykrwawia się w mych ramionach z rozciętą szyją, spoglądając w me oczy tęsknie za życiem, które z niej błyskawicznie ucieka. Chwytam jej egzekutora w stalowy uścisk za głowę i z niewypowiedzianą furią skręcam mu kark, odrywając niemal ptasi łeb od tułowia.

I już jestem przed zakonniczką Lisotią. Klęczy ona przede mną, ściskając się desperacko rękoma za gardło. Zaś spomiędzy jej palców leje się prawdziwa rzeka krwi.

Przez moment zastygam w przerażeniu, a wtedy wymierzony zostaje we mnie cios buławą. Chwytam w locie metalowy drążek obuchowej broni i staram się obezwładnić napastnika. Jednak zabójca zakonniczki napiera na mnie całą swą opancerzoną masą i raptem spadamy razem do basenu pełnego wody. Tu, kotłując się ze sobą, opadamy na samo dno we wspólnym uścisku i dalej walczymy.

Po uprzednim nabraniu powietrza do płuc teraz ze wszystkich sił przytrzymuję przeciwnika przy gruncie. Ten zadaje mi ciosy opancerzoną rękawicą, ale to wytrzymuję. Napędzają mnie bowiem wściekłość i gniew, doprawdy pełne gorącej energii emocje, dlatego czuję, że na ten czas wytrzymałbym walkę z każdym przeciwnikiem. Obecny wkrótce wiotczeje w mych ramionach, wypełniając sobie płuca ciepłą cieczą z basenu.

Wobec tego szybko rozglądam się pod powierzchnią wody w nadziei dostrzeżenia tu dziecka. Ale go nigdzie nie widzę! Zatem jak najszybciej się wynurzam, aby złapać oddech.

Czynię to gwałtownie i naraz odczuwam niewysłowioną ulgę, która miesza się we mnie z doznawaną jeszcze furią, dając doprawdy przedziwną mieszankę. Oto nad brzegiem basenu dostrzegam mokrą Nail w otoczeniu dwóch Allearów. Ciemnoskóra kobieta ma głęboką ranę na szyi, z której obficie płynie krew i trzyma ona dziecko przy piersi. Jednocześnie czyni do mnie przyzywający ruch ręką.

Płynę więc do niej w czasie, gdy ocaleli Allearzy opatrują gardło kobiety. Sam rozglądam się za żywymi przeciwnikami oraz gniewnym Bogiem, ale nie dostrzegam nikogo więcej. Wychodzę więc z wody i porywczo pytam:

– Biramond? Gdzie Biramond?!

Na co Nail wskazuje palcem jedną ze zdobnych ścian, a Allear koło niej wyjaśnia:

– Ruchoma ściana, tajemne przejście.

– Musimy go ściagać! – krzyczę gniewnie. Następnie zatrzymuję wzrok na martwych postaciach Lisoti pragnącej sprowadzić na świat prawość, Roksin pożądamącej po prostu miłości oraz nieznaną mi z imienia Allearki, która za sprawą dziecka w swym łonie chciała przynieść na świat nowe życie, a teraz nie ma już ona nawet własnego istnienia. Z bólem spoglądam

jak szerokie strumienie krwi z rozciętych, kobiecych gardeł łączą się razem w jedną rzekę i spływają wprost do basenu, gdzie zabarwiają na czerwono przejrzystą dotąd wodę. I z cierpieniem w głosie jękliwie powtarzam: – Ścigać... Musimy go ścigać...

– „Nie musimy. Już nie” – gestykuluje jedyna ocalała z kobiet, Nail, po oddaniu dziecka jednemu z mężczyzn.

– Ależ tak... – zaprzeczam obecnie już na dobre podłamany, kiedy paruje ze mnie gniew, a górę bierze przytłaczający smutek z powodu przeżywanego żałoby. – Nie dostrzegłem żadnego znaku, żadnej aureoli wokół przeklętej postaci Boga Biramond – dodaję.

– „Widziałam jego ochronny znak” – czyni zaskakujące dla mnie gesty Nail.

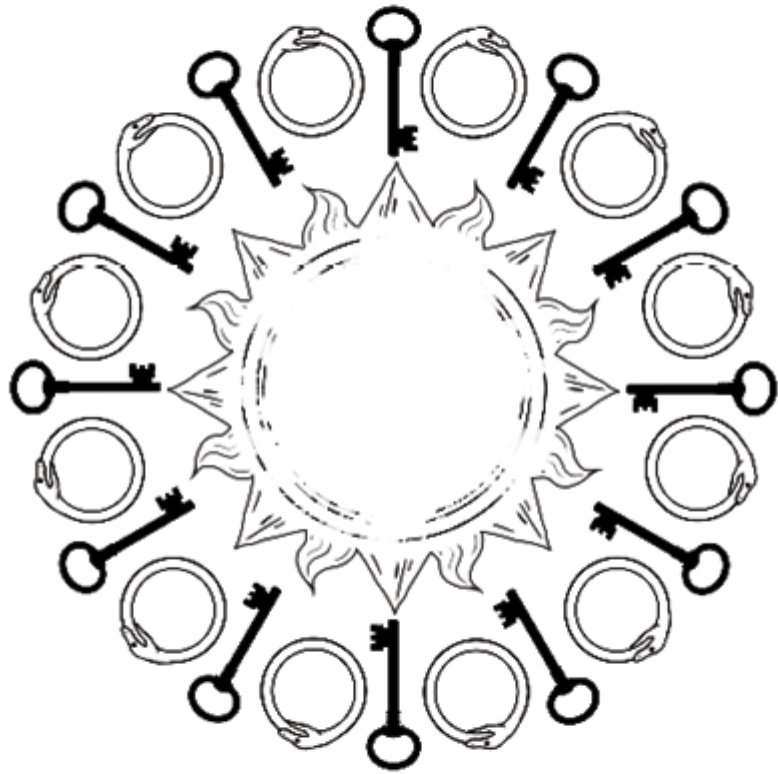
– Naprawdę...? – nie dowierzam.

– „Tak, widziałam” – potwierdza. – „To słońce oraz klucze i koliste węże, z których każdy pożera swój ogon. Chodźmy już stąd, szybciej” – ucina dalszą dyskusję kobieta. Odbiera dziecko z męskich rąk i kieruje się w powrotną drogę.

Osobiście odnajduję moje miecze i ze spuszczoną głową idę w ślad za Nail. Zaś w głowie kłębią mi się sprzeczne, ścierające ze sobą myśli, gdzie zadowolenie z odkrycia ochronnego znaku kolejnego gniewnego Boga zderza się z oczywistą, bolesną klęską w postaci licznych ofiar.

Dlatego przemierzając oświetlane nielicznymi pochodniami korytarze, przeklinam wojnę, przemoc i wszystko, co z nimi związane. Jednocześnie z niechęcią uświadamiam sobie, że tylko za ich sprawą można się im samym skutecznie przeciwstawić, to jest dalej walcząc i zabijając.

„Wąż kąsa węża, a skorpion skorpioną, tylko jego własnym jadem pokonasz ucieleśnienie Boga”. Ściskając kurczowo rękojeści mieczy, odnajduję w tych słowach głębsze przesłanie, któremu bezwzględnie muszę się podporządkować.



V. POWRÓT

Wraz z garstką ocalałych świętych wojowników Zakonu Lancy Czarnego Orła szczęśliwie uchodzimy z wymarłego obecnie miasta Tamroszach. Zaś dzięki towarzyszącym nam nieustannie spalającym promieniom słońca, żadne krwiożercze maskary nie czynią nam przeszkód w drodze powrotnej przez pustynię.

I chociaż zwieńczamy naszą misję sukcesem – Nail poznaje tajemny znak Boga Biramond – to te zwycięstwo smakuje nad wyraz gorzko i okupujemy je doprawdy wielkimi stratami. Są one dla mnie do tego stopnia bolesne, że nie do końca słodzi je nawet trzymanie w ramionach mej malutkiej córeczki. Dziecka mojego oraz Roskin. A wiem, że to nasze dziecko, tak bowiem podpowiada mi serce.

Tymczasem docieramy do centrum wielkiej pustyni, gdzie pomiędzy zatrutymi oazami mamy nadzieję spotkać wojska sojuszu, które opuszczamy ponad dwadzieścia dni temu. Choć wcale nas nie zdziwi, jeżeli zamiast dawnych, wojskowych zastępów odnajdziemy jedynie garstkę głodujących i spragnionych ludzi pośród morza piasku oraz bielejących w słońcu szkieletów.

Niewyobrażalne jest więc nasze zdziwienie, kiedy w pewnym momencie ukazują się nam schludnie, równo ustawione koło siebie namioty, których jest nad wyraz wiele. Do tego dostrzegamy, jakby cudownie rozmnożone stada koni, a nawet liczne, spętane wielbłądy. Ponadto stoją tu w rzędach sznury wozów. Czyżby z zaopatrzeniem? A może z bronią? I jeszcze zauważamy nowych ludzi. Tak, mijamy żołnierzy i wojowników należących niewątpliwie do oddziałów, które pierwotnie nie przybyły wespół z nami w te strony. Zaś jakby tego było mało, widzimy w równych odstępach wbite w piasek pale, na których sterczą złowrogo nadziane głowy lwów, niedźwiedzi, psów, ptaków oraz łani – okrutnych gwardzistów gniewnych Bogów.

Kroczy my więc pomiędzy tymi wszystkimi, nieoczekiwanymi dobrodziejstwami i czynimy doprawdy zdumione miny, aż naprzeciw nas wychodzi prawdziwy komitet powitalny. W jego skład wchodzi znane nam osoby, choć widok niektórych w tym miejscu doprawdy zaskakuje. Za to wszystkie witające nas postacie niespodziewanie solidarnie tryskają wręcz wyśmienitym humorem.

– Poznaliście tajemny znak gniewnego Boga Biramond? – pyta ochoczo, zupełnie jakbyśmy udali się na rodzinny piknik Kalilla, zaznajomiona już wcześniej z naszymi planami. Kiwam jej twierdząco głową, wzbudzając serdeczny uśmiech na ustach kobiety. Na co z uznaniem odzywa się Exon:

– Wierzyłem w ciebie, zawsze wierzyłem, Avezanie, jak w twoją matkę. I do tej pory nie zawodziś.

– Anrea także nie nas nie zawiodła, po prostu jej dzieło zwiędzi jej syn – stwierdza rezolutnie czarownik Gabu przybyły tu, nie inaczej, tylko na latającym dywanie. A jest on właśnie jedną z nieoczekiwanych tutaj postaci. Druga, w osobie Viri, zawiadacko do niego rzuca:

– Na ciebie też możemy liczyć, mój mężny gigancie, nieprawdaż?

– Nie inaczej – oznajmia z powagą czarownik. – Ja również zamierzam walczyć.

– Chyba z własną nadwagą, ha! – gasi bojowe zapędy Gabu kobieta rodem z konfederacji Favere, przyklaskując ucieszenie w swoje uda, po czym zaczepnie mnie zapytuje:

– Chłopiec czy dziewczynka? – zwraca uwagę na przyniesione z nami dziecko obecnie w ramionach ciemnoskórej kobiety. Zaraz z powrotem przenosi wzrok na mnie i obejmując swój płaski brzuch, dodaje: – Wybacz, że pierwotnie nie przybyłam ci z Nail na odsiecz. Ale... dowiedziałam się wcześniej od ciebie czegoś ciekawego i... miałam coś pilnego do załatwienia... – kończy wielce tajemniczo. Nieoczekiwanie obejmuje ją Ravel, kolejna niespodziewana tu osoba i szarmancko mówi:

– Razem musieliśmy coś załatwić, ja oraz moja jedyna ukochana, i... chyba odnosimy sukces! Chociaż nie tylko my... – Wskazuje ręką na niespodziankę w postaci stojącej koło niego Adory. Postawna kobieta kłania mi się nad wyraz nisko, jakby w przeproszającym geście i pokazuje

na liczne wozy oraz wielbłądy. Lekko drga jej górna warga, ale zaraz opanowuje ten syndrom nadmiernych emocji i klarownie tłumaczy:

– Pendorum umiera pod okrutnym jarzmem gniewnych Bogów z Otchłani, a wraz z konającą krainą cierpimy my wszyscy. Dlatego postanowiliśmy zjednoczyć siły dla... Anrei oraz jej syna... i pomni ich mistycznego posłannictwa, jak możemy, pomagamy, współdziałając ze sobą.

Po tych słowach i deklaracjach nagle na mojej twarzy gości dawno niewidniejący tam uśmiech. Oto bowiem uświadamiam sobie, że tu, na tej wypalanej słońcem piaskowej równinie gromadzą się w zgodzie wszyscy dawni kompani mej matki. A ponadto są tutaj właśnie w imię mitycznej Anrei, by służyć swym oddaniem i wsparciem jej synowi, który to przejmuje brzemień ochrony Pendorum. Zauważam też, że nasz obecny obóz doprawdy wygląda jak nowy i zaraz, zwracając się do Gabu, podpytuje:

– Cóż takiego trzymają w rękach konkwistadorzy? To jakaś niezwykła broń, może magiczna...?

– O tak, na pewno nietuzinkowy to oręż, choć z magią akurat nie ma za wiele wspólnego... – odpowiada z zadowoleniem czarownik i wyjaśnia: – Obserwujesz rusznice, śmiertcioną broń palną podobną do znanych ci już pistoletów Viri.

– Viria! – krzyczy naraz Ambum, mający na rękach parę niemowląt, z których jedno, zdecydowanie mniejsze, jest rude, a drugie, wręcz monstrualnych rozmiarów, posiada czarne włosy. Z kolei ojciec wojownika spogląda nieco surowo na syna, potem przyjaźniej na przywódczynię piratów, a wreszcie całkiem pogodnie na mnie samego i swobodnie ciągnie dalej:

– Tak się składa, że dzięki flotylli pirackiej na posiadaniu wspomnianej Viri... Mogłem dostarczyć rusznice do niezbyt odległego stąd morskiego brzegu. Ponadto z obecnych tu żołnierzy jedynie konkwistadorzy są obeznani z tego typu bronią i to dlatego trafia ona w ich ręce.

– Skąd zamorscy przybysze znają czary rodem z Otchłani? – zaciekawiam się.

– Jak już mówiłem, to nie jest magiczny oręż... – zauważa spokojnie Gabu i tłumaczy: – Broń ta bynajmniej nie pochodzi z Otchłani, a różne jej

wersje znane są od dawien dawna w niektórych zakątkach tego wielkiego świata. I na ten przykład wspomniane rusznice używane są na rdzennym kontynencie konkwistadorów. Jednakże zgodnie z panującym tam prawem nie mogą być wywożone za morze. Stąd tutaj, aż do tej pory, zamorscy przybysze z nich nie korzystali.

– Rozumiem – oświadczam i kieruję pytające spojrzenie na oddziały wojsk do złudzenia przypominające te z księstwa Razzinal, królestwa Saladior czy cesarstwa Terraticos, a do tego w pełnym rynsztunku. Tym razem odpowiedzi udziela ochoczo Ravel:

– Moi Bracia Cienia rozesłali wiadomości po całym sercu Pendorum. Obwieścili mianowicie, że główne ognisko oporu przeciw gniewnym Bogom roznieciło się właśnie tu, na pustyni chanatu, pod światłym przewodnictwem samego Avezana, syna mitycznej Anrei! – Puszczam mi oko. – I tak oto ściągają tu cała masa wspierających nas żołnierzy, dla których moi Bracia kradną ponadto wielki arsenał broni oraz konie... Ale nie tylko to... – Pokazuje na pełne wozy i zaprzężone do nich wielbłądy. Z tą chwilą głos zabiera Adora:

– Wszystkie posiadane przeze mnie karawany kupieckie kieruję dokładnie w to miejsce. Dzięki temu jest tutaj obecnie dość wody i pożywienia dla wielotysięcznej armii i to na całe tygodnie. Do tego gwarantuję oczywiście kolejne dostawy zaopatrzenia. Natomiast w drodze do tego miejsca podległych mi kupców ochraniają sami zakonnicy białego psa. – Pulchna kobieta zatrzymuje wzrok na mężczyznach z tego samego zakonu, co mój ojciec, którzy akurat powracają z pustynnej otchłani z następną karawaną.

Wobec takiego widoku i tych wszystkich wyśmienitych wiadomości doprawdy serce rośnie i wlewa się w nie nadzieja. Być może więc dotychczasowe ofiary rzeczywiście nie pójdą na marne i zjednoczeni autentycznie zdołamy pokonać gniewnych Bogów. Szczególnie teraz, kiedy razem z Nail dysponujemy kompletem chroniących ich znaków.

Zatem obecnie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przygotować się do morderczego starcia i na przekór wszystkiemu zwyciężyć. Zaś w tym celu zwracam się na początek do Ravela, aby mnie oraz mą ciemnoskórą towarzyszkę zaznajomił ze sztuką tatuażu.

Oczywiście się zgadza i już niebawem razem z Nail oraz skośnookim mężczyzną zasiadamy na ciepłym piasku pod złocistą kopułą słońca. Ja i ciemnoskóra kobieta rozbieramy się zupełnie do naga i nawzajem tatuujemy nasze ciała tak, aby na każdym umieścić komplet pięciu ochronnych glifów.

Z prawdziwą pieczołowitością wprowadzam pod skórę Nail wielobarwne substancje i pozostawiam koliste wizerunki tajemnych znaków, kobieta czyni to samo w odniesieniu do mnie. I tym sposobem na nasze ramiona, piersi i plecy, a także pośladki oraz nogi trafiają gwiazdy i księżyce, malowane krople wody, jak i płomienie. Pojawiają się na jasnej i ciemnej skórze owady, zwierzęce szczęki, czy klepsydry odmierzające płynący czas, jak również geometryczne znaki: trójkąty oraz koła.

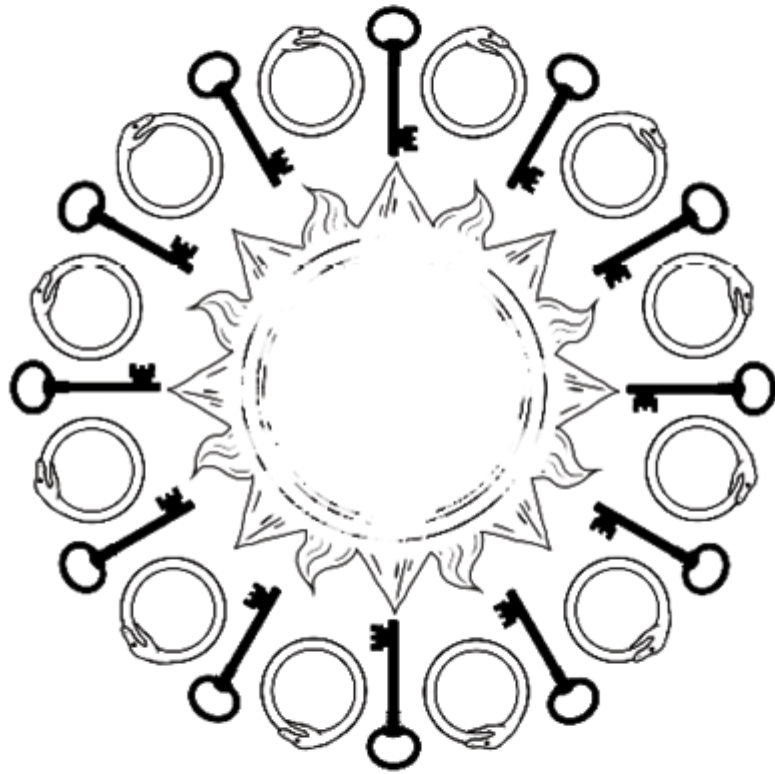
Jednakże na tym bynajmniej nie kończy się przemiana naszych ciał. Kiedy Ravel z uznaniem kiwa głową, sugerując tym samym, że zdobiące nas malunki są wykonane z należną starannością, na arenę wkracza jego partnerka, Viria.

Czarnowłosa kobieta z kropkowaną twarzą wyjmuje ze słoika z zieloną cieczą zdobny sztylet i kolejno mi oraz Nail wycina z wielką precyzją po lewej gałce ocznej. My sami o dziwo nie odczuwamy nawet bólu, nie czujemy nic szczególnego aż do momentu, gdy Viria podmienia nasze oczy, ponownie umieszczając je w oczodołach.

Z tą chwilą spoglądam na świat, jednocześnie widząc to samo, co Nail, a ona może podziwiać obrazy doświadczone przeze mnie. I jest to nasz ze wszech miar świadomy wybór, który na przyszłym polu bitwy ma nam zapewnić dodatkowy atut. Oto będziemy nawzajem widzieć pozycje swoich wojsk, co niezwykle ułatwi nam koordynację działań oraz skuteczną reakcję na zmiany zachodzące na polu walki. Liczymy, że ten właśnie fortel pozwoli nam przełamać wojskowe zasieki gniewnych Bogów, aby zbliżyć się do nich samych i ostatecznie ich zgładzić.

Wiemy zaś, iż decydujący moment ostatecznej konfrontacji jest naprawdę bliski. Albowiem synowie Anrei oraz Abezala także gromadzą już niezbędne zapasy potrzebne na pustynną wyprawę i według zwiadowców ruszają ku nam, łącząc swe siły, aby nas ostatecznie zmiażdżyć. Lecz my bynajmniej nie mamy zamiaru dać się pokonać. Na

pewno nie po tym, co przechodzimy do tej pory, a z nami ciemżona ludność Pendorum. Otóż tym razem będziemy walczyć do upadłego, by sięgnąć po należną nam, ostateczną wygraną!



VI. ŚWIĘTOŚĆ

Noc po naniesieniu na nasze ciała tatuaży oraz wymianie oczu spędzam wspólnie z Nail, mą jedyną, najprawdziwszą ukochaną. Zresztą odkąd opuszczamy Tamroszach trzymamy się nieustannie razem. Chociaż się ze sobą nie kochamy, a zapadając cyklicznie w sen, jedynie leżymy wtuleni w siebie nawzajem. Łączymy w ten sposób nasze ciała podobnie, jak połączył nas los w tej krainie oraz jej trudne dzieje.

Jednak teraz, choć jest już ku temu pora, jeszcze nie zasypiamy. Obcowanie z doświadczeniem spoglądania na świat cudzymi oczyma jest tak niezwykle, że wręcz nie możemy się napatrzeć ukazywanym nam widokiem. I co raz uśmiejemy się, bowiem jak tego nie czynić, kiedy patrząc w twarz Nail, niczym w jej odbiciu widzę również siebie i wiem, że ona odbiera to w identyczny sposób.

Sami, jakbyśmy momentami nie mogli uwierzyć w serwowany nam przez zmysł wzroku obraz i co raz gładzimy nawzajem dłońmi nasze ciała. Wodzimy opuszkami palców po malunkach tatuaży, a także składamy na wielobarwnej obecnie skórze czułe pocałunki. Tym sposobem zmysł dotyku dopełnia nas w przeświadczeniu, iż doświadczyliśmy rzeczywistości, a nie mirażu.

I pomimo tego, że zwykle wspólny czas spędzamy w ciszy, podobnie jak teraz, to w końcu decyduję się przerwać milczenie i gładząc łagodnie Nail po policzku, łagodnie oznajmiam:

– Wiele... tak wiele się wydarzyło, odkąd cię poznałem... Ale na ten czas za każdym razem, kiedy cię widzę, odnoszę wrażenie, że wszystko to zaczyna się na nowo. I dzięki temu odnajduję w sobie świeżą energię, aby walczyć i podołać wszystkiemu, co stanie mi na przeszkodzie. Ponieważ to ty dajesz mi siłę, Nail, ty, samą sobą, w tej chwili to już wiem... Ale jest coś jeszcze, co możesz zrobić, aby uczynić mnie doprawdy

niezwyciężonym. To jest... przebaczyć mi... Wybaczyć wszystkie moje przewiny wobec ciebie i tym samym pozwolić mi być czystym, bo tylko wtedy będę mógł czuć się ciebie godny i naprawdę być przy tobie...

– „Kim dla ciebie jestem, abym ci miała wybaczać”? – gestykuje skromnie ciemnoskóra kobieta.

– Nail... – Biorę jej ręce w swoje. – Odkąd cię znam, jesteś dosłownie częścią mnie. Ale... jesteś tą lepszą częścią mnie... Więc żebym cały i w komplecie poczuł się na siłach, by stanąć jutro do walki i zwyciężyć... Czy możesz mi ostatecznie, naprawdę, wybaczyć...?

– „Wybaczam” – gestykuje Nail. – „Jeżeli tylko ty sam mi wybaczasz, sobie oraz wszystkim innym, wtedy wybaczam. To bowiem prawdziwa świętość, odrzucić urazy i tego również potrzebujemy przed ostateczną bitwą nie tylko z wrogiem na zewnątrz, lecz i w nas samych, wewnątrz nas. Bo będąc w szponach zawiści, jej trujący jad cały czas sączony jest do naszych serc i tego przeciwnika także musimy pokonać”. – Kobieta składa dłonie na piersi.

– To mądre słowa i... przyjmuję je z prawdziwym ukojeniem – oświadczam naprawdę odprężony i przytulam mocno do siebie Nail. Niebawem układamy się wspólnie do snu i zapewne to we śnie wkrótce ponownie spotkamy się.

*

Nad ranem budzi mnie jakieś poruszenie w obozie i gniewne głosy. Rozglądam się wokół, ale nie dostrzegam w namiocie Nail, zaś jej okiem zauważam gromadzących się w jednym miejscu ludzi.

Lekko zaniepokojony, jedynie w przepasce biodrowej, wychodzę na zewnątrz. Widzę osoby rozmawiające podniesionym tonem, a wśród nich rozpoznaję kompanów mej matki oraz odwróconą do mnie zwalistą, męską sylwetkę kolejnego rozmówcy.

Podchodzę prosto do niego, ponieważ domniemam, że to on jest przyczyną jakiegoś sporu. Kładę mu dłoń na ramieniu i odwracam go ku sobie. I raptem spoglądam w znienawidzoną przeze mnie twarz, po czym gniewnie charczę:

– Pajos... – Ile tylko mam sił odruchowo uderzam mężczyznę pięścią w twarz. Ten zatacza się po doznanych ciosie, ale nie pada. Wtedy wymierzam mu serię siarczystych kopniaków w tors, gardło oraz podbródek.

Po ostatnim ataku mężczyzna z tatuażem pajęczyny na łysej czaszce chwieje się na nogach i przewraca plecami na piasek. W mgnieniu oka siadam na nim, zza paska wyciągam mu nóż i przykładam ostrze do gardła. Natomiast zza pleców słyszę lekceważący głos Viri:

– Tylko nie tnij za szybko i chyba robi się kolejka do oskórowania naszego nadzorcy...

Coś we mnie szepcze, że czarnowłosa kobieta ma rację i mężczyzna pode mną, te ludzkie ścierwo, rzeczywiście nie powinien skonać zbyt lekką śmiercią. Nie wiem, skąd się tu wziął i nie obchodzi mnie to. Za to pchany czystą nienawiścią kieruję nóż na jego oko, aby się pastwić i doprawdy sprawi mi to przyjemność.

Lecz wtem ktoś łapie mnie za ramię. Jest to Nail, która wskazuje mi jakichś ludzi, a potem gestykułuje:

– „Nadzorca przyprowadził ze sobą, przemierzając całą pustynię, gladiatorów oraz strażników ze szkoły Artusa. Uczynił to sam, z własnej woli, a nie na rozkaz i chce nas wesprzeć”.

– Wesprzeć... – powtarzam zaskoczony i marszcząc z niezadowoleniem twarz, w porywie gniewu wściekle z siebie wyrzucam: – Więc niech nas wspierają przyprowadzeni tu, niewinni ludzie, bardzo dobrze. Ale bez tego oto ścierwa, które zasługuje wyłącznie na to, by nie zginąć zbyt szybką śmiercią! – Po tym wybuchu spoglądam z pewną niechęcią na Nail, która przecież, jako pierwsza powinna pragnąć wymierzyć Pajosowi zasłużoną karę. Ona jednak spogląda z litością i to bynajmniej nie na niego, a na mnie. – Nail! – krzyczę do niej, aby się opamiętała w swym miłosierdziu. Lecz ona, jako to ona, patrzy na mnie z typową sobie surową powagą niczym sama Bogini. A zaraz z wolna gestykułuje:

– „Przebaczenie, świętość, pamiętasz”?

– Nie jesteśmy święci... Jedyne się staramy... – Cedzę gniewnie przez zęby. – Jesteśmy...

– „Kim”? – pyta rezolutnie Nail. – „Kimś lepszym od gniewnych Bogów, jeżeli sami dajemy się pochwyć w szpony gniewu i w jego imieniu działamy, roztaczając wokół dalsze cierpienie”?

– Nail... – Tym razem powtarzam te ukochane imię jękliwie. Z kolei uchwyt noża w moim ręku luzuje się.

I naraz spoglądam zrezygnowany na Pajosa, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że jego oczywiste winy mogą mu ująć płazem. Czy naprawdę w imię wyższych ideałów możemy na to pozwolić? Czy to słuszne, aby miłosierdzie tak absolutnie triumfowało i nie miało żadnych granic? – zapytuję skołowany w duchu sam siebie.

Nagle Nail, jakby widząc moje wewnętrzne zmaganie, wyszarpuje mi z ręki nóż i wbija w policzek nadzorcy. Przekręca ostrze, by jeszcze poszerzyć głęboką ranę i wyjmuje nóż obficie ociekający krwią. Następnie wsuwa mi go z powrotem do dłoni i gestykułuje:

– „To wszystko. Kara zostaje wykonana. Ma ona przypominać winnemu, że popełnił błąd, aby w to miejsce czynił naprawę i uczyni ją. Przed nadchodzącą bitwą spojrzysz w lustro, na ranę i bliznę na swych policzkach, po czym ruszysz po odkupienie na prawdziwego wroga, krocząc w pierwszym szeregu walczących. Czy tak”? – Nail spogląda srogim wzrokiem na Pajosa. Ten ociera swoją twarz z krwi i obrzucając wszystkich lekceważącym spojrzeniem, wzgardliwie z siebie wypluwa:

– Ciemnoskóra we wszystkim ma rację. To ona powinna być prawdziwą Boginią, waszą oraz tej przeklętej krainy, nie Anrea. I stanie się tak, jak ciemnoskóra sobie życzy. Ruszę z moimi ludźmi w pierwszym szeregu. Tylko, zaklinam, dajcie nam walczyć...

Wkrótce wszyscy obecni przy zajściu z Pajosem, w tym on sam, rozchodzą się do swoich zajęć, czyniąc ostatnie przygotowania do jutrzejszej bitwy. Ja natomiast dłuższy czas stoję w miejscu, aż w pewnym momencie podchodzi do mnie Viria z Ravelem. Ciemnowłosa kobieta opiera się ciężko na ramieniu skośnookiego mężczyzny i drwiąco się do mnie zwraca:

– Rozchmurz się, ogierze. W końcu nie każdy może być tak mądry, roztropny, błyskotliwy oraz dalekowzroczny, jak nasza słodziutka Nail, nieprawdaż? Do tego ma chyba z nas wszystkich największe jaja, ha! –

Viria klaszcze uciesznie w dłonie i ciągnie dalej: – Co by nie powiedzieć, ona nie jest normalna. Zresztą dzięki mnie patrzysz teraz na świat jej okiem. Czy zatem z jej perspektywy i w obecnych okolicznościach nie wypadaloby jednak Pajosowi. – Spluwa siarczyście na piasek. – Wybaczyć?

– Przebaczenie... – mruczę bez przekonania pod nosem, jakby ważąc w umyśle wypowiedane słowo.

– A jak! – rzuca wyzywająco ciemnowłosa kobieta i głośno cmoka Ravela w policzek. Ja zaś, widząc to, kąśliwie zauważam: – Dostrzegam, że wy sami chyba już sobie na dobre przebaczyliście...

– Cóż powiedzieć. – Ravel mocno obejmuje Virię. – Tak już nam chyba pisane, być ostatecznie razem...

– A o co właściwie między wami poszło? Czemu się poróżniliście ze sobą...? – zagajam nieśmiało. W odpowiedzi para robi wielce zadumane miny, jakby z trudem przypominając sobie zarzewie ich niedawnego, ostrego konfliktu. Aż jako pierwsza w zamyśleniu przemawia Viria:

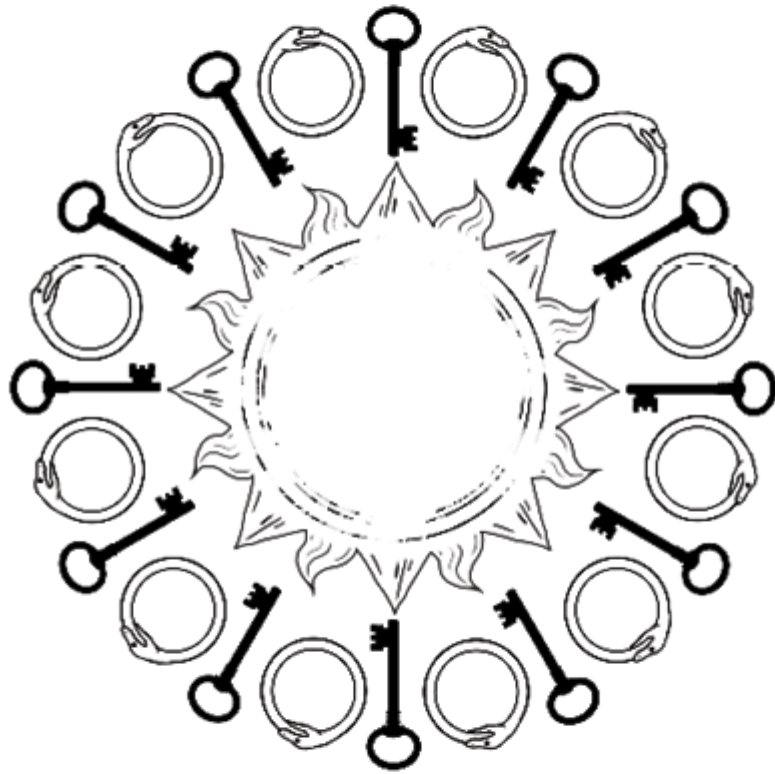
– Zdaje się, że Ravel nie posprzątał po sobie ze stołu okruszków chleba... A może wpakował mi się w brudnej przepasce biodrowej do łóżka...? – Marszcząc ciemne, bujne brwi kobieta patrzy pytająco na mężczyznę. Ten czyni głupkowatą minę, wskazując na siebie palcem i się zarzeka:

– Nigdy w życiu! Po prostu się wściekłaś do czerwoności, bo sam opróżniłem ponad pół butelki wina, nie dzieląc z tobą rozkoszy trunku! – Ale zaraz sam wpada w głębszą zadumę i niepewnie duka: – Może jednak pokłóciliśmy się przez to, że razu pewnego, podczas kradzieży psów rasowych w Etos, złapałem pchły i mimochodem podłapałaś ode mnie...?

– Rasowe psy nie mają pcheł w przeciwieństwie do ciebie, ty pchlarzu – odpowiada ze śmiertelną powagą Viria i energicznie drapie partnera za uchem. A zaraz szczyrzy się bezczelnie, podobnie jak Ravel i razem szturchają się, starając przewrócić jedno drugie, zupełnie jak baraszkuje dzieci.

Ta scenka zdecydowani poprawia mi dość ciężki nastrój. Przeto wreszcie się uśmiecham i schodzi ze mnie reszta niedawnego napięcia. Następnie już w całkiem przyzwoitym humorze, po drodze mijając Gabu wraz z Adorą, kolejną pogodzoną ze sobą parę, idę na ostateczną inspekcję wojsk przed

bitwą. Muszą być one na jutro w najwyższej gotowości i obok wybaczenia sobie nawzajem, co jest skąd inąd na swój sposób miłe, to właśnie z militarnej kwestii należy uczynić teraz najbardziej doniosłą sprawę.



VII. ODWAGA, SIŁA, HONOR, MIŁOŚĆ I ŚWĘTOŚĆ

Ostatniej nocy przed bitwą w końcu kocham się z Nail. Czynimy to zarazem pierwszy raz od pamiętnego, wspólnego czasu spędzonego na statku Zachara jeszcze przed przybyciem do brzegów kontynentu Pendorum.

Obecnie kochamy się tak po prostu, a może jednak najbardziej niezwykle na świecie? Sam tego nie wiem. Życie nauczyło mnie już pokory. Pokazało mi, że samo posiadanie boskiej krwi nie czyni mnie mądrzejszym i lepszym od innych ani tym bardziej wszechwiedzącym. Ponieważ ostatecznie definiują nas nasze czyny. Przede wszystkim zaś konfrontacje z najwyższymi ideami i to czy potrafimy im należycie sprostać. Czy w decydującym momencie wykażemy się dostateczną siłą, honorem i odwagą oraz czy mimo wszystko zatrzymamy w sercu miłość i świętość, dzięki którym zachowamy też niewinność i będziemy w stanie przebaczać.

Tak, teraz wiem, że to właśnie nas określa. I oto ostatnią noc spędzam z istotą, która choć nie jest boska, to bez wahania mogę przypisać jej wszelkie wymienione przymioty, a przez to jest ona dla mnie najprawdziwszą Boginią. Przy niej czuję się lepszy oraz to, że sam wzrastam. Natomiast razem, właśnie tego dnia, musimy się zaprezentować światu jako istoty niemal doskonałe. Po to, aby ten świat ocalić.

Po przebudzeniu Nail przywdziewa zbroję identyczną z tą, jaką jako gladiatrix nosiła moja matka. Cały zbrojny rynsztunek zakupuje dla mej ciemnoskórej partnerki i składa jej w podarku Adora. I muszę przyznać, że Nail prezentuje się doprawdy imponująco z klatką piersiową osłoniętą srebrnym metalem oraz rękoma z nachodzącymi na siebie złotymi naramiennikami. Zakłada też wysokie, podkute żelazem buty, przepasę

biodrową i skórzany, szeroki pas, jak również gorset dodatkowo z siatką chroniącą jej boki. Do tego przywdziewa chustę na głowę ze wzorami z wyspy bez nazwy. W ten sposób Nail oddaje hołd mitycznej Anrei, oznajmiając mi, że z nią samą w swym sercu, moją mityczną matką, ruszy dzisiaj do boju.

Ja sam również od rana wspominam matkę, choć i mego ojca. Oto ich historia staje się także moją. Jestem świadom, że stanowią jej kontynuację, a być może nawet ostateczne zwieńczenie, jeżeli tylko dziś w jakiś sposób zdołam zwyciężyć.

Osobiście, jako osłonę do walki, zakładam tylko skórzaną, lekką kolczugę. Czuję się w niej swobodnie i nie krępuje mi ruchów. Przede wszystkim jej noszenie nie jest męczące, a spodziewam się, iż nadchodzące starcie pochłonie nad wyraz wiele mych sił. A tych muszę mieć wiele na całą morderczą bitwę i zapewne serię decydujących potyczek.

Następnie, będąc już w pełnym rynsztunku, mocno tulimy się z Nail. Czynimy to naprawdę długo, jednak bynajmniej nie na pożegnanie. W ten sposób pragniemy dodać sobie potrzebnej otuchy. Potem kierujemy się każde z nas odpowiednio na prawą i lewą flankę wojsk sojuszu serca Pendorum, gdzie oczekują nas nasi podkomendni.

Nail odstępuje mi część swych wojowników i obecnie każde z nas dowodzić będzie dwiema setkami zaprawionych w walkach Allearów. To wszystko, co pozostaje z ponad tysięcznej armii wyprowadzonej przez nas z wielkiej puszczy. Z kolei centrum naszych wojsk stanowią doprawdy wielce zróżnicowane oddziały, a każdy z nich zostanie poprowadzony do boju przez swego wodza.

I tak począwszy od mojego stanowiska na lewej flance, tuż koło siebie mam połączone siły wszystkich zakonów, przeszło sto pięćdziesiąt ciężko oraz średnio opancerzonej jazdy. To nieliczne, ocalałe dotąd zakonniczki srebrzystej łani oraz równie zdziśiatkowani zakonnicy czarnego orła. Jedynie Zakon Miecza Białego Psa stawia się niemal w komplecie swych kipiących odwagą rycerzy. Dla odmiany Zakonu Buławy Czerwonego Lwa czy też Zakonu Topora Zielonego Niedźwiedzia już z nami nie ma. Jednakże ich przedstawiciele dość już się przysługują do tego, abyśmy w nadchodzącej porze w ogóle mogli stanąć do walki.

Dalej, w centrum naszej armii, rozciągają się bardziej i mniej liczne przedstawicielstwa poszczególnych władztw z serca Pendorum. Są tu więc resztki wojsk chanatu pod dowództwem syna cesarzowej Tiry. Jarl Albina u boku z wojownikiem Ambum oraz jarl Płaskonosy prowadzą do boju swe oddziały z konfederacji Favere oddzielnie. Na czele żołnierzy z Saladior staje Exon, zaś jego żona, Kalilla, obejmuje dowództwo nad jednostkami imperium. Ochotnicy z księstwa Razzinal mają za wodza leciwego starca, bojara Alexego, ponoć osobę bardzo oddaną mej matce. I wreszcie garstkę wojsk z cesarstwa Terraticos wespół ze strażnikami oraz gladiatorami prowadzi nie kto inny jak Pajos. Jego samego od zamykającej pozycji naszych wojsk na prawej flance Nail oddzielają jeszcze konkwistadorzy panów La Furia oraz El Kapitano, którzy są wsparciem niezwykłym uzbrojeniem przez czarownika Gabu, a także hojnym żołdem przez Adorę.

A ilu w sumie gromadzi się nas na gorących piaskach chanatu? To nieco ponad dziesięć tysięcy żołnierzy. Podczas gdy przeciw sobie spodziewamy się stu, a może nawet i dwustu tysięcy potępionych wojowników. I już niebawem ukazują się nam naprzeciw ich ciasno przylegające do siebie szeregi.

To nieprzebrana rzesza Isików i amazońskich z Legionu Śmierci. Najmniej liczni są przetrzebieni przez nas barbarzyńcy, ale za to gromadnie przybywają Jeźdźcy Majanu oraz skrzydlate Demony Mroku wespół z pomniejszych, mrocznymi kreaturami.

Ponadto nigdzie nie dostrzegamy półzwierzęcych pomiotów gniewnych Bogów z Otchłani. A że jesteśmy na równinnej, otwartej przestrzeni, stąd wniosek, iż zapewne przyboczne gwardie dzieci Anrei oraz Abezzala trzymane są w odwodzie na tyłach głównych wojsk dla ochrony swych boskich przywódców.

Z jednej strony to dobre wieści, ponieważ domyślamy się, gdzie powinniśmy poszukiwać naszych kluczowych wrogów i w które miejsce z całą siłą uderzyć. Lecz z drugiej strony, wobec jawiących się przed nami faktów, musimy założyć, że dostanie się w bezpośrednie sąsiedztwo gniewnych Bogów będzie niezwykle trudne. Jednak nie mamy wyboru, musimy, po prostu musimy tego dokonać.

Wraz z rozpoczynającym się starciem, zgodnie z najświeższymi ustaleniami, do przodu wysuwają się oddziały zakonne oraz po drugiej stronie jednostki prowadzone przez Pajosa. Wymienione formacje mają za zadanie wciągnąć wroga do walki, a mi oraz Nail stworzyć szansę przedarcia się flankami na tyły wojsk gniewnych Bogów.

O ile bowiem ilościowa dysproporcja dwóch armii naprzeciw siebie jest wręcz druzgocąca, o tyle długości zbrojnych szyków nieomal się wyrównują. Ma to miejsce, ponieważ rozciągamy linie naszych wojsk do granic możliwości, ustawiając żołnierzy sojuszu w zaledwie kilku szeregach.

Stąd wiemy, że we frontalnej walce nie utrzymamy się długo. Ale wszystko to jest zorientowane na zmylenie przeciwnika i pokierowanie bitwą zgodnie z naszymi oczekiwaniami. I to dlatego atakujemy jako pierwsi.

Tymczasem zakonna konnica pokonuje już niemal połowę dystansu do konnych amazonek Legionu Śmierci. Podobną odległość przebywają żołnierze Pajosa, krocząc ku skrzydlatym Demonom Mroku, które zasiadają na absurdalnie wręcz potężnych rumakach zakutych w srebrną stal. I raptem, w odpowiedzi na ruch naszych wojsk, wspomniane jednostki wroga ruszają sprowokowane do bezpardonowego szturmu.

Nie mija wiele czasu, a przednie czoło konnicy amazonek w sile kilku tysięcy ujadających złowieszczo wojowniczek wręcz zalewa sobą zakonną jazdę. Z kolei Demony Mroku dosłownie tratują i miażdżą niezbyt liczne jednostki nadzorcy szkoły gladiatorów Artusa.

To jednak niezbędne poświęcenie, aby Allearzy moi oraz Nail ruszyli galopem daleko na po łuku w kierunku tyłów wroga. Sam prowadzę na czele swój oddział i jednocześnie widzę okiem ciemnoskórej kobiety, że także i ona obejmuje sprawne przewodnictwo.

Ponadto Nail kilka razy ogląda się za siebie i dzięki temu zauważam, że tuż za rozgromionymi jednostkami wojsk Pajosa ustawia się w równej linii opancerzona piechota konkwistadorów. Z przodu jest ona zaopatrzona w rusznice, a z tyłu w długie piki. I kiedy Demony Mroku zbliżają się do wojsk panów La furia oraz El Kapitano, z najbliższej odległości następuje spektakularna salwa z broni palnej. W efekcie ostrzału rumaki i ich jeźdźcy

zostają zalani gęstą falą pocisków. Te ranią ciała Demonów Mroku, dziurawią ich skrzydła i zbroje. A już za moment do szturmują ruszają pikinierzy, dźgając wytracającą prędkość oszołomioną konnicę z Otchłani. Do tego z prawej flanki uderza ciężko opancerzona kawaleria konkwistadorów używająca broni palnej na przemian z ostrymi szablami. I oto potężne Demony Mroku znajdują się naraz w niespodziewanym potrzasku. Choć tuż za nimi gnają już pieszo tysiące czarnych pokurczy ni to ludzi, ni nietoperzy z prymitywnymi dzidami. Również inne jednostki gniewnych Bogów ruszają hurtem, tym razem w centrum, do frontalnego ataku.

Z kolei mym własnym okiem umieszczony w moim oczodole, widzę przerażający efekt starcia amazonek z zakonami. Dostrzegam przez ramię, że wykrwawiające się zakonne wojska dają nad wyraz długi i mocny odpór liczniejszemu przeciwnikowi. Dzięki temu docierają tam posiłki w postaci piechoty jarl Albiny oraz jarla Płaskonosego z konfederacji i wywiązuje się zażarta walka.

Jednakże nie mam możliwości podziwiać tych zmagania dłużej. Albowiem ostrzeliwany bełtami z kusz właśnie wymijam galopem flankę wrogich wojsk i ruszam wprost na ich tyły, gdzie spodziewam się dopaść gniewnych Bogów jednego po drugim. I zaiste me życzenie zaraz zaczyna się spełniać.

Z pozycji Nail dostrzegam niebawem, że szarżuje ona bardziej do środka wprost na samotnie stojący w kole oddział półludzkich łani. Wobec tego także decyduję się złamać linię galopu moich Allearów i kieruję ich na centrum za tyłami głównej fali wojsk wroga.

Dalej obserwuję, jak Nail wbija się z impetem w szyk zaskoczonych gwardzistek Harremid, a za nią jej doskonali wojownicy. W wyniku starcia wrogowie zwracają się gromadnie przeciw napastnikom. I w tym momencie moje jednostki na pełnym biegu uderzają na tyły półludzkich wojowniczek.

Doprawdy możliwość jednoczesnego oglądania pola bitwy z dwóch stron daje mi z Nail wspaniałą przewagę i właśnie skwapliwie z niej korzystamy. Lecz już za chwilę musimy wykorzystać kolejny z naszych

atutów. Mianowicie moc zdobiących nasze ciała ochronnych znaków, za których sprawą zdejmujemy fizyczną ochronę z gniewnych Bogów.

Oto pośród walczących półwierzęcych istot miota się na koniu sama Harremid. Tym razem posiada ona włócznię i tarczę, którymi zręcznie atakuje, to używa swego oręża do obrony. Widzę jak bezpardonowo naciera na nią Nail. Obie postacie walczą jak równa z równą. I w tym momencie doprawdy byłbym gotowy przysiąc, że oto ścierają się ze sobą dwie godne tego miana Boginie. Ale ja jestem tu właśnie po to, aby zwyciężyła tylko jedna z nich. Dlatego toruję sobie drogę wśród wrogów dwoma mieczami, młócąc nimi na lewo i prawo, aż podjeżdżam od tyłu do srebrzystej Bogini. A kiedy ta gwałtownie się odwraca w moją stronę, paruję jej cios włócznią własnym ostrzem, po czym kontratakuję. Ona przyjmuje moją furię na tarczę. I naraz Harremid wydaje z siebie przeraźliwie upiorny wrzask wydarty chyba z samego, krwawiącego serca, które od tyłu zostaje przebite przez ostrze Nail. Tak oto dumna i okrutna Bogini traci swe ziemskie życie i jej duch udaje się na zesłanie wprost do Otchłani. Zaś co równie istotne wraz z jej śmiercią wyrwane zostaje życie z jej ziemskich emanacji – półludzkich łani, których oczy nagle gasną, zasnuwając się srebrzystą poświatą. Te istoty padają martwe na złocisty piasek u stóp rumaków, nie stanowiąc już żadnego zagrożenia.

Niezwykłe uskrzydłony takim widokiem z nieskrywaną nadzieją spoglądam na tyły wojsk Isików, które przywodzi tu poległa Harremid. Zaciskam z całych sił dłonie na rękojeściach mieczy, wręcz modląc się w duchu o to, co po prostu musi teraz nastąpić. Mianowicie odwrót wojsk dziesiątek tysięcy wściekłych pokurczy, którym dotąd przewodziła ma przeklęta siostra. Lecz niestety, o zgrozo, nic takiego nie następuje. Isikowie, podobnie jak inne pomioty Otchłani, w najlepsze atakują dalej.

Co gorsza, i my zostajemy raptem zniemacka zaatakowani. Oto wraz z Allearami jeszcze nie dochodzimy całkiem do siebie po ostatnim starciu, gdy ławą uderzają w nas jeźdźcy z głowami psów uzbrojeni w lance oraz miecze i tarcze. Pomioty Otchłani wściekle atakują nasze niezorganizowane szyki, wprowadzając w nie chaos. I czynią to do tego stopnia skutecznie, że ja oraz Nail rozłączamy się wśród bitewnej zawieruchy.

Jednakże, od czego posiadamy nawzajem swoje oczy? Dzięki nim szybko odnajdujemy drogę ku sobie, torując ją nieustannie czerwonymi od

krwi ostrzami mieczy. I tak, niczym bitewni kochankowie, pośród śmierci i zniszczenia ponownie się ze sobą spotykamy. Zaś pomiędzy nami jest obecnie nie kto inny jak Bóg odwagi i walki, Arezar, uzbrojony w tarczę i miecz. Natomiast nam nie pozostaje nic innego, jak zesłać na niego z naszej strony pocałunek śmierci.

Pierwsza atakuje go Nail. Używając umiejętnie dwóch krótkich ostrzy, jakby wręcz stworzonej dla niej broni, ciemnoskóra kobieta w stroju gladiatrix spycha skutecznie boskiego przeciwnika do defensywy. Doprawdy z wielką przyjemnością oglądam, jak niezwykle poprawia ona technikę posługiwania się swym orężem. Również w samej walce nabiera niebywałej odwagi i wydaje się nawet nie myśleć o odwrocie, tylko wciąż ponawia ataki. Tak więc czym prędzej sam idę jej w sukurs. I mając wspólnie z Nail na wyposażeniu cztery ostrza naprzeciw jednego miecza gniewnego Boga, zadajemy synowi Anrei oraz Abezala kilka znaczących ran.

Gdy naraz Arezar wydaje ze swego psiego pyska złowrogie ujadanie i niczym spuszczonej z łańcucha wściekły pies skacze z rumaka prosto na Nail. Odrzuca on broń i chwyta opancerzone ramię wojowniczkę w swoją masywną szczękę, po czym kłapie zawzięcie zębiskami po metalowych osłonach. A zaraz luzuje uchwyt paszczy i kieruje ją na odsłonięte gardło kobiety. Lecz raptem sztywnieje on na ciele, kiedy od tyłu wbijam mu z całych sił czubek miecza w sam środek zwierzęcego karku.

Od tego momentu Arezar rzuca się już jedynie w przedśmiertnych konwulsjach z gęstą pianą toczoną z pyska. Z kolei Nail spycha go z siebie wprost pod końskie kopyta. Zauważam na opancerzeniu jej ramienia głębokie ślady po zębach i niewielkie strużki krwi. Jednak ona sama hardo spogląda mi w oczy, dając do zrozumienia, że odniesione rany jej bynajmniej nie zastopują, będzie dalej walczyć.

Zatem skutecznie uśmiercamy drugiego Boga, przez co także i jego półzwierzęce emanacje zostają odesłane wraz z nim do Otchłani. My natomiast w pośpiechu dzielimy na dwie części przemieszanych ze sobą naszych ocalałych do tej pory Allearów.

A już za moment ponownie gnamy lewą i prawą flanką. Obecnie wspólnie namierzamy stojącą w gotowości gwardię Avenedora i

koordynując atak, jak grom z jasnego nieba spadamy z dwóch stron na kolejnego wroga.

Dzięki skutecznej szarży z miejsca przełamujemy szyki przeciwnika i zyskujemy przewagą nad konnymi zastępami pół-ludzi z głowami lwów uzbrojonymi w tarcze i buławy. Nimi jednak mają się zająć Allearzy do czasu aż ja z Nail nie odnajdziemy ich skrzydlatego, boskiego odpowiednika, by wydzierając z niego życie, pozbawić go na długo mocy i fizycznej postaci.

I oto jest, nieoglądany jeszcze przeze mnie Avenedor, mój starszy brat z kolczastą buławą i tarczą. Ryczy on przeraźliwie, potrząsając lwią grzywą i kościanym naszyjnikiem na swym ludzkim torsie. W tej chwili on jeszcze nie walczy, ale zaraz już musi, kiedy wspólnie z Nail zaczynamy go kasać ostrzami.

I historia się powtarza od nowa. Jako że jest nas dwójka, to uzyskujemy przewagę w walce w zwarciu. Choć nasz przeciwnik również nie jest pozbawiony atutów. Po doznaniu kilku ran raptownie wlatuje na skrzydłach w otwartą przestrzeń, po czym rzuca się wprost na mnie.

Gwałtownie spinam do tyłu rumaka. W efekcie gniewny Bóg spada mu wprost na łeb i zatapia swe lwie zęby w szyi wierzchowca. Ten pada na ziemię, a ja z Avenedorem zostajemy pociągnięci w ślad za nim.

Przez moment jestem przygnieciony i nie wiem, czy konającym zwierzęciem, czy ciałem kogoś z walczących. A zaraz, gdy próbuję się wyczołgać na otwartą przestrzeń, czuję, że ktoś chwyta mnie za nogę. Odwracam się i widzę postać Avenedora, który podciąga się do mnie i zamyka swoją potężną, lwią szczękę na mojej łydce.

Nagle odczuwam w nodze rozrywający ból, który promieniuje aż do kości oraz na całą kończynę i niemal odbiera mi świadomość. Pomimo to ze wszystkich sił zbieram się w sobie, poszukując w pośpiechu dłońmi na piasku upuszczonych mieczy.

Lecz zanim je odnajdę, a moja noga zostanie zapewne dosłownie oderwana poniżej kolana, słyszę u swych stóp gardłowe, zwierzęce charczenie. Doznaję również zluzowanego uchwytu zębów na mej kończynie. Spoglądam więc na leżącego za mną Avenedora i dostrzegam

stojącą nad nim Nail. Trzyma ona rękojeść miecza w obu dłoniach, a jego ostrze raz za razem wprowadza w plecy gniewnego Boga.

Ten zaraz wydaje swe ostatnie tchnienie. Natomiast Nail pomaga mi szybko uczynić na krwawiącą nogę opaskę uciskową, którą wykonuje z porwanego materiału moich własnych spodni. Następnie już zamierzamy poszukać sobie nowych rumaków. Ale w tym momencie dobiegają do nas piesi gwardziści kolejnego z gniewnych Bogów, Gragezona.

Uzbrojeni w topory i tarcze tną oni wściekle zarówno Allearów, jak również ich smukłe wierzchowce, dając prawdziwy pokaz siły oraz bezwzględności. I doprawdy nie wiem, czy w innych okolicznościach moglibyśmy dać im skuteczny odpór. Jednakże teraz, by to uczynić, potrzebujemy zgładzić jedynie ich wodza. Zatem zarówno ja, jak i Nail wodzimy uważnie wzrokiem w poszukiwaniu półniedźwiedziej sylwetki ze skrzydłami.

I raptem przy pomocy oka Nail w moim ciele wyłuskuję w bitewnym kotle postać gniewnego Boga siły oraz walki. Widzę jak jednym cięciem topora odcina nogę Alleara siedzącego na koniu. Kiedy wojownik spada z wierzchowca, Gragezon zatapia mu niedźwiedzie zęby w karku, a równocześnie szatkuję toporem rumaka, aż niemal odcina mu łeb.

Naraz gniewny Bóg zasłania się umiejętnie tarczą przed ciosem Nail. Następnie niespodziewanie sam atakuje trzymaną osłoną, uderzając nią kobietę w pierś. W efekcie wojowniczką pada na ziemię pod nogi walczących. Przetacza się na bok, a w miejsce, gdzie przed chwilą spoczywała, trafia ostrze topora. I dalej oglądam to wszystko, co Nail z jej perspektywy. Zaś moją twarz wykrzywia grymas bólu po próbie uczynienia kroku na zranionej kończynie.

Na szczęście dosięgam uzdy bepańskiego wierzchowca i jednym susem na niego wskakuję. Zdejmuję z pleców dwuręczny miecz i szarżuję wprost na Gragezona. Biorę potężny zamach, aby ściąć mu niedźwiedzią głowę. Jednak w tej właśnie chwili ten się gwałtownie odwraca, po czym wbija topór w środek łba mego rumaka. Śmiertelnie trafiony koń zostaje gwałtownie zastopowany, a ja lecę do przodu niczym wystrzelony z katapulty.

Po przekoziółkowaniu po ziemi spoglądam obolały z pozycji leżącej na Gragezona. Ten klęczy tuż przed Nail, która trzyma ostrze miecza wbite w jego klatkę piersiową, a zaraz poprawia zamasyście drugim ostrzem wprost w gardło syna Anrei i Abezala. Te zostaje głęboko rozcięte, a czerwona krew obryzguje obficie stojącą kobietę.

Biramond – szepczę w duchu, myśląc o nadchodzącej potyczce z ostatnim z gniewnych Bogów.

Wkrótce ustawiamy się równą ławą na wierzchowcach; ja, Nail oraz reszta ocalałych Allearów. Zaś czynimy to naprzeciw sznura konnych gwardzistów Boga świętości i walki. Obserwujemy pół-ludzi z głowami ptaków, gdzie w centrum stoi sam Biramond.

Za naszymi plecami ciągle rozgrywa się mordercza walka oddziałów z Otchłani z siłami sojuszu. Z kolei my oraz gwardziści gniewnego Boga nacieramy na siebie nawzajem, przechodząc od stępa aż do morderczej szarży.

Dwie fale jeźdźców, liczebnie każda około setki, zbliżamy się do siebie na pełnym pędzie. Wojownicy Biramond z uniesionymi ku nam długimi lancami. Moi Allearzy z tarczami i mieczami w dłoniach, Nail z parą ostrzy, ja sam z dwuręcznym mieczem, który obecnie spoczywa w mej prawej dłoni.

I oto zderzamy się ze sobą z wielkim impetem na złocistej pustyni. Śmiertelnie ranieni ludzi oraz półludzkie istoty wydają ze swych gardeł przedagonalne wrzaski w wyniku odniesionych, okrutnych ran. Słychać metaliczny dźwięk ścierającego się ze sobą oręża, lancy i mieczy zderzających się z tarczami i metalowymi osłonami walczących. Wokół widać przetaczające się po końskich grzbietach okaleczone postacie. Te martwe nieuchronnie spadają na ziemię, aby już z niej nie powstać. Zaś inne, jeżeli tylko mogą, mimo odniesionych ran dalej podejmują walkę.

Wśród tych ostatnich jesteśmy ja oraz Nail. Nasze rumaki zostają stratowane na śmierć we frontalnej szarży. Jednak my sami podnosimy się z kolan, by walczyć z samym Bogiem Biramond, który obecnie także stoi już pewnie na nogach z ciężką, kolczastą buławą i tarczą w dłoniach.

Wokół trwa w najlepsze zażarta bitwa, podczas gdy ja sam wspieram się na ramieniu Nail, a ona na moim. Natomiast Biramond kroczy prosto na

nas. Spoglądam bez strachu na jego ptasią głowę oraz w oczy ptaka. I przypominam sobie, jak daje on rozkaz do egzekucji Lisoti, Roksin oraz drugiej Allearki. W tej chwili za nic mam to, że nie zgładził on mego dziecka, to za mało, aby mógł liczyć na litość. Dlatego z wyrazem gniewu na twarzy odpycham się od Nail i kuśtykając z dwuręcznym mieczem w dłoniach, atakuję gniewnego Boga!

Chwiejąc się z powodu nie w pełni sprawnej kończyny, wymierzam jeden za drugim zamasyte ciosy długim ostrzem. Lecz te zgodnie zatrzymują się na tarczy półludzkiego wroga z ptasią głową.

Aż ten zdejmuje przed siebie osłonę i z całą siłą uderza w poziomie buławą. Zasłaniam się mieczem, ale ten ulega pod naporem obuchowej broni i obcy oręż dosięga mego boku. Przeto upuszczam swoje długie ostrze i padam boleśnie na piasek ze strzaskanymi żebrami.

Dławi mnie kłucie w płucach odczuwane niczym dźganie ostrymi sztyletami, ale przewycięzam nieznośny ból. Wspieram się na łokciach, zwieszając nisko głowę i staram się zebrać w sobie siły, spoglądając w dół prosto na piasek. Równocześnie widzę okiem Nail, że zajmuje ona moje miejsce na polu walki.

Ciemnoskóra kobieta również powłóczy nogą, ale ręce ma sprawne. Do tego zaopatrzone w parę mieczy, którymi młóci z zawrotną prędkością. Ale Biramond skutecznie odpiera jej wypady, aż sam decyduje się przejść do kontrataku.

Uderza kobietę frontalnie tarczą. W wyniku mocarnego ciosu traci ona na chwilę równowagę. Wówczas gniewny Bóg całkiem się odsłania i trafia kolczastą buławą w lewą dłoń przeciwniczki, po czym natychmiast poprawia w prawą. Tym samym łamie Nail kości śródreżczy i czyni ją naraz bezbronną, ponieważ trwale wytrąca jej oręż z dłoni.

Miecze wojowniczkki upadają na piasek. W odpowiedzi w geście triumfu Biramond zwycięsko rozpościera ramiona i skrzydła, wydając z siebie dziki, ptasi skrzek, który dosłownie rani uszy. Następnie zamierza się on obszernie buławą na Nail, aby zadać jej decydujący cios.

Cały czas obserwuję tę scenę okiem ciemnoskórej kobiety, patrząc w napięciu w podłoże. Jednakże dłużej nie mogę pozostać bierny, za nic w świecie nie mogę! Dlatego nadludzkim wysiłkiem, zupełnie jakby nagle to

mi samemu wyrosły skrzydła, porywam się raptem w kierunku okrutnego Biramond i przed śmiertelnym ciosem własnym ciałem zasłaniam Nail.

Kolczasta buława z zawrotną prędkością trafia mnie w samo serce z taką siłą, że te zostaje dosłownie zmiażdżone wraz z częścią mej klatki piersiowej. Przeto jak rażony piorunem padam konający na plecy. Zachłystuję się własną krwią i umieram...

Wszak, zanim ostatecznie zamknę oczy na świat, aby ich już więcej nie otworzyć, spoglądam na bezkres błękitnego nieba. Czynię to okiem Nail i za jego sprawą widzę obraz, jakiego doświadcza teraz moja ukochana.

Patrzy ona na triumfującego syna Anrei oraz Abezzala mającego krwawą buławę w ręku. Odrzuca on daleko tarczę, po czym czyni kolejny śmiertcionośny zamach swą niszczycielską bronią, aby tym razem pozbawić życia Nail.

Jednakże wojowniczką sięga niespodziewanie za szeroki pas okalający jej przepaskę biodrową i nagle wyciąga dwa rewolwery Viri. Prostuje przed siebie ręce, w tym drżące, pokrzywione dłonie i opróżnia wprost w gniewnego Boga dwa magazynki. Tym samym tajemny glif na ciele Nail oraz jej broń sprawiają, że nafaszerowany pociskami Biramond przewraca się na złocisty piasek niczym ten z areny w Terraticos i skrzecząc koszmarnie, w cierpieniu kona.

Ja zaś, mimo że właśnie umieram, to czynię to spełniony i ze szczerym uśmiechem na ustach. Ponieważ uświadamiam sobie, że chociaż sam odchodzę z tego świata, to pozostawiam tu Nail. Absolutnie niezwykłą kobietę, która ma wszelkie przymioty najdoskonalszych Bogów, aby swym życiem dokonać tego, czego ja już nie zdołam. Zatem niech to ona zwieńczy dzieło mej matki, mitycznej Anrei, niech zjednoczy Pendorum. Po pokonaniu gniewnych Bogów niech przegna stąd ostatecznie pomioty Otchłani i uczyni z tej krainy jedność bez ciągnącego się w nieskończoność pasma okrutnych wojen.

Z takimi myślami i obecnie w ramionach Nail, własna śmierć doprawdy nie wydaje się czymś złym, a już na pewno nie poniesioną porażką. Choć jeżeli czegoś będzie mi brakować w zaświatach to właśnie tej niezwykłej istoty, z którą połączył mnie łaskawy los. Będzie mi brakować mej najukochańszej – Nail.

*

Tymczasem mój duch opuszcza me martwe już ciało i z poziomu błękitnego nieba obserwuję ciągle toczące się na pustyni wyniszczające starcie. Na nieszczęście resztki wojsk sojuszu są nieubłaganie spychane do centrum, otaczane i rozgramiane przez przytłaczające siły wrogów z Otchłani.

Isikowie, których poległa już niemal połowa, pożywiają się żarłocznie własnymi, zmarłymi kamratami i co raz ponawiają szaleńcze ataki. Amazonki z Legionu Śmierci masakrują rzucanymi oszczepami nieosłoniętych tarczami przeciwników, to czynią otwarte szarżę konnicą na zastępy sojuszu pod osłonami. Barbarzyńcy, wśród których brylują berserkowie, kontynuują wściekłe natarcie, wżynając się coraz głębiej w obce szeregi i rozrywają je na strzępy. Nieliczne już, ale ciągle śmiertelnie groźne skrzydlate Demony Mroku ze swymi poplecznikami także ponawiają ataki. Do tego wokół walczących galopuje nieprzeliczona konnica Jeźdźców Majanu, zasypując sojusz ciemnymi salwami śmiercionośnych strzał.

Tak oto widzę, że całkowita, nieuchronna klęska zdaje się już tylko kwestią niedługiego czasu. Czyżby więc miałyby to oznaczać, że poświęcenie całego sojuszu, Allearów oraz moje i Nail, w tym zgładzenie gniewnych Bogów, ostatecznie nie odwracało losów bitwy i pójdzie ono na marne?

I wtedy daleko na horyzoncie pojawia się nieoczekiwane trzecia siła. Mój wyzwolony z ciała duch spogląda z błękitnego nieba, na nadciągających przybyszy, którzy wraz ze zmniejszaniem się odległości od walczących nabierają dla mnie coraz wyraźniejszych kształtów. I doprawdy sam nie mogę uwierzyć w prezentowany mi, iście spektakularny widok.

To całe zastępy niezwykle zwierząt, o których nigdy dotąd nic nie słyszałem i o których nie mam żadnego pojęcia. Są one wielokrotnie większe i masywniejsze nawet od xeratoksów, poruszają się na czterech monstrualnych nogach, a ich łby z wielkimi uszami wieńczy z przodu, jakby długa trąba. Do tego te zwierzęta posiadają na grzbietach obszerne kosze. Zaś w każdym z pojemników znajdują się ciemnoskórzy mężczyźni,

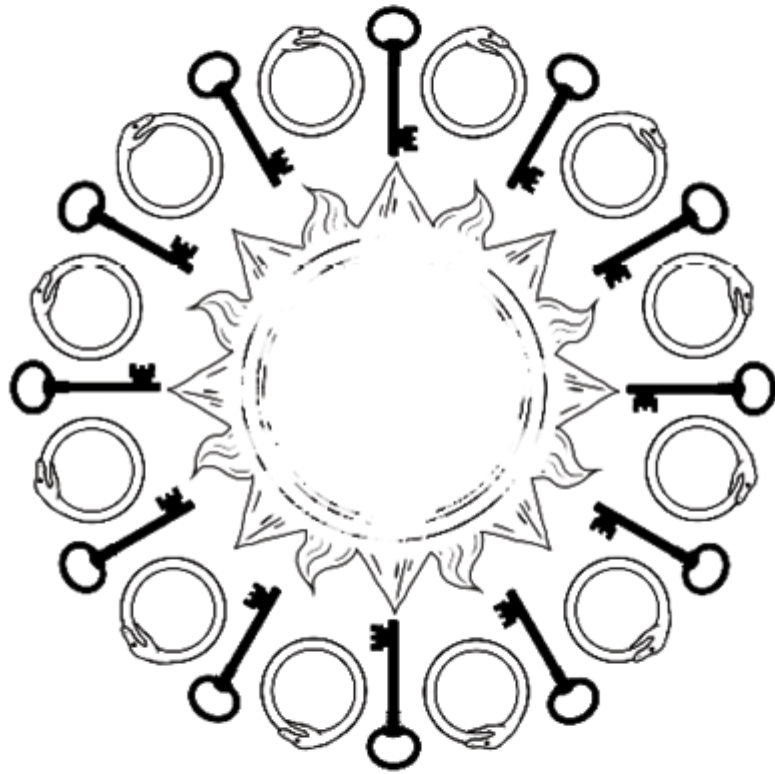
obsługujący coś, co przypomina trochę pierwotne pistolety Viri. Z tym że te przedmioty są po wielokroć większe.

I nagle przy ogłuszającym huku wypluwają one z siebie olbrzymie pociski. Wystrzelone kule trafiają w hordy z Otchłani i w morzu ognia oraz ponawianych eksplozji rozrywają przeklęte istoty na strzępy. Następnie potężne zwierzęta z trąbami dosięgają swą niszczycielską szarżą pierwszych szeregów wroga i tratuja go bezlitośnie, to znów rozlegają się niosące śmierć w poźodze wystrzały.

W ten sposób kimkolwiek jest ten, kto przybywa z odsieczą, to właśnie on ostatecznie przyczynia się do ziszczenia czegoś absolutnie niemożliwego, czyli całkowitego zwycięstwa nad pomiotami Otchłani.

Choć może to jednak nie on, a ona? Myślę tak, gdy dostrzegam wzory sztandarów sterczące z grzbietów monstrualnych zwierząt. To żółte płachty z niezliczoną ilością czarnych punktów w centrum. Czy zatem są to proporce z Wyspy Czarne Piasku, a wojskiem dowodzi moja odrodzona matka, sama, mityczna Anrea?

Nie wiem tego i już nie dane mi będzie się tego dowiedzieć. Albowiem w tej właśnie chwili tracę świadomość mego istnienia. Jednakże do końca jestem myślami przy dwóch najważniejszym w moim życiu istotach, przy mojej matce oraz Nail. Dla mnie samego najprawdziwszych, świętych Boginiach, którym, jak nikomu innemu nieobce są odwaga, honor czy siła, ale także najprawdziwsza świętość i miłość.



EPILOG

Jest już po wielkiej bitwie, zwycięskiej bitwie. Opadają pustynny kurz i pył, czyniąc to na zakrwawione ciała tysięcy poległych i o wiele mniej licznych ocalałych z pogromu. Ja, Anrea, władczyni już nie tyle wyspy, ale całego królestwa Czarnego Piasku, kroczę pomiędzy szeregami żołnierzy zarówno z mego obecnego kontynentu – Nelorum, jak i z Pendorum, gdzie akurat stawiam swe stopy w zdobnych sandałach.

Mam na sobie wielobarwną, luźną szatę rodem z mojej krainy odsłaniającą jedynie me łono. Ma skóra jest ciemna w kolorze miedzi, a sylwetka niezwykle wysoka i szczupła. Dekolt zdobią naszyjniki ze złota i drogich kamieni. Uszy, nos oraz miejsce pośrodku czoła również wieńczą na mym ciele bogate ozdoby. Me rude włosy są niezwykle długie i rozpuszczone falują na lekkim, gorącym wietrze.

I tak stawiając drobne kroki, dochodzę do szóstki mych dawnych kompanów z mego uprzedniego żywota. W ich oczach dostrzegam łzy, ale wiem, że są to objawy wzruszenia na mój widok, nie smutku. Także i ja odczuwam w mym sercu coś niezwykłego, specyficzną więź z tym miejscem i przede wszystkim klękającymi teraz koło mnie ludźmi.

Najpierw podchodzę do kobiety, której flotylla pirackich okrętów przywozi tutaj mnie oraz moją armię. To Viria, nieposkromiona szczerą osobą, której czynię błogosławieństwo, składając swą dłoń na jej głowie.

Następnie podobnym dotykiem obdarowuję czarownika Gabu. Mężczyznę o niezwykłej tuszy, który do mej uciskanej krainy przywozi niezwykłą broń mych dotychczasowych ciemieżycieli. To doprawdy wspaniały i mądry człowiek, którego podziwiam.

Po nim składam me długie palce na głowie Ravela. Jego nietuzinkowe zdolności również okazują się nieocenione na kontynencie Nelorum.

Adora jest kolejną osobą, na której widok się serdecznie uśmiecham. I ona otrzymuje ode mnie należne błogosławieństwo. I to nie tylko za udzieloną pomoc mej ojczyźnie, ale też za wsparcie, które ostatnimi czasy posła do rozlicznych, potrzebujących istot.

Na koniec kładę dłonie jednocześnie na głowach Kalilli oraz Exona. To oni bowiem utrzymali w jedności imperium Pendorum, jeden z głównych owoców mego przeszłego życia. I za to im z całego serca dziękuję.

Chociaż największą przemianą w moim poprzednim istnieniu jest ta, że zwińczęm je zdjętą ze mnie klątwą mego boskiego małżonka, Abezzala. Po raz pierwszy bowiem odstępuję od jego zabicia, choć mam ku temu sposobność, jak i powody. Wbrew wszystkiemu wybaczam mu i w zamian staję się wreszcie wyzwoloną z okowów przekleństwa osobą.

Tym sposobem odradzam się w obecnym żywocie bez skazy, a samo życie przeżywam po raz pierwszy bez grzechu. I swe czyste istnienie pragnę na ten czas odpowiednio spożytkować, czyniąc to najlepiej, jak tylko mogę.

Dlatego teraz to mi szklą się oczy, kiedy podchodzę do kobiety o takim samym kolorze skóry, jak mój i klęczącej koło mego martwego syna, Avezana. Kładę jej rękę na ramieniu i zachęcam, aby powstała. Czyni to, a wówczas mocno ją obejmuję i szepczę jej dźwięcznym głosem do ucha:

– Bądź błogosławiona, szlachetna, upadła Bogini, któraś swego czasu zapłaciła swą boskością za uratowanie kontynentu Nelorum. Wiedz, że całe życie modliłam się żarliwie właśnie do ciebie. I jestem przekonana, iż to dzięki tobie przetrwałam me najtrudniejsze chwile, a było ich wiele. Dlatego jesteś mi bliska niczym ciepło promieni słońca na mej skórze. I w podzięce składam ci w darze to, co bezsprzecznie należy się tobie bardziej niż komukolwiek innemu. – Po tych mych słowach moje rozświetlone boską poświatą oczy przestają już na zawsze lśnić. Zaś następuje intensywny rozbłysk oczu Nail. W ten sposób sama ostatecznie przestaję być Boginią i przekazuję mą odwieczną boskość Nail. To ona będzie od teraz patronką Pendorum.

Potem klękam kołom mego martwego syna, Avezana, spoglądając na jego głębokie rany na ciele. Wiem, czego dokonał i z tego powodu rozpiera mnie wielka duma, bowiem pokonał on me wyrodne dzieci, gniewnych

Bogów, którzy nie przyprowadzą już kolejnych armii z Otchłani, aby zniewolić serce Pendorum. To oni niegdyś, po mojej śmierci, zatrzasnęli przede mną wrota niebios. Jednakże za ich ewidentne grzechy to na nich obecnie ześle moc klątwy mój były już małżonek, boski Abezzal. Zatem za swe podłe czyny będą przeklęci tak, tak ja byłam i tak długo, aż dostatecznie nie zrozumieją swych błędów i ich nie naprawią.

Lecz to nie dla mych dawnych dzieci tu jestem, a dla ich młodszego brata, a mego syna, Avezana. Dlatego wspominając jego z kolei chwalebne czyny, o których zdążyłam już usłyszeć, ocieram z twarzy zły i tulę go do swej matczynej piersi, po czym nad jego martwym ciałem wypowiadam znamienne słowa:

– Oddaje ci moje życie, ponieważ ponad wszystko pragnę, abyś doświadczał istnienia i przede wszystkim kochał. Kochał całym sobą i bez pamięci tą, która najbliższa jest twemu sercu i na którą już zasługujesz, Nail. I życzę sobie byś został wiecznym strażnikiem strzegącym krainy Pendorum. Taką na ten czas przepowiadam ci przyszłość. Dlatego oddaję ci moją esencję życia, czyli wszystkie me przyszłe żywota. Proszę cię, powróć do swego zagojonego już ciała i żyj... – Całuję z wielkim uczuciem syna w czoło pomiędzy brwiami i sama zamykam oczy, czyniąc to już na zawsze, podczas gdy Avezan ponownie może patrzeć na świat.

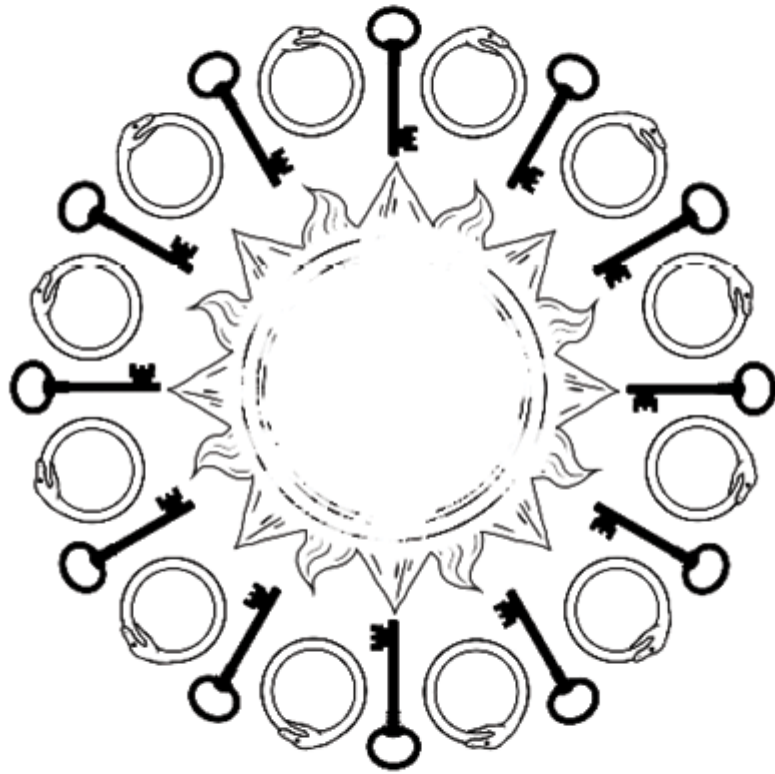
*

Więc dokonuje się. Pendorum jest uratowane, a teraz zostanie zjednoczone pod panowaniem Avezana oraz Nail. Wiem, że tak będzie, po prostu to wiem. Zaś co ze mną, mityczna Anreą? Wszak moja historia się tu jeszcze nie kończy...

Oto pozostawiam sobie mglisty cień boskiej iskry. I poprowadzi mnie ona do przeklętego świata upadłych pomiędzy życiem, a śmiercią, gdzie na zesłaniu przebywa mój ukochany z tego żywota.

Miłość to zaprawdę nieodgadniona, lecz ze wszech miar potężna siła i to za nią pragnę podążyć. I uczynię to, aby w obcym wymiarze odnaleźć mego ukochanego. O nim zamierzam teraz nie tylko śnić, ale z nim po wsze czasy być.

CDN



Spis treści

I. NADZIEJA – GDZIE ONA JEST

II. POMIĘDZY PIASKAMI

III. W TAMROSZACH

IV. PAŁAC

V. POWRÓT

VI. ŚWIĘTOŚĆ

VII. ODWAGA, SIŁA, HONOR, MIŁOŚĆ I ŚWĘTOŚĆ

EPILOG